AS



Nr. 35
29 SIERPNIA 1937 R.
CENA 40 GROSZY

WYJAZD NA POŁÓW

KARWIA

Fot. A. Progulski — Lwów

Chciałbym mieć tyle pieniędzy ile kosztowały...

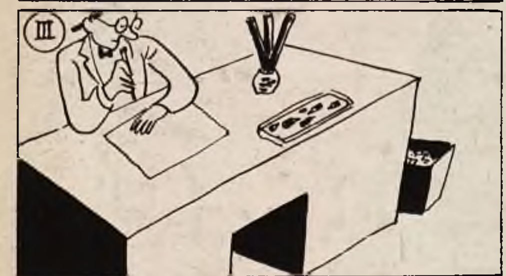
Czy pomyśleliście kiedy, ile wartości ginie na świecie bezpowrotnie bez najmniejszej korzyści dla kogokolwiek. — Jeśli dzieje się to np. wskutek katastrof żywiołowych, którym człowiek zapobiec nie jest w stanie, straty idące nieraz w setki miljonów, ludzkość zapisuje na koncie naturalnego ubytku wartości. Istnieją jednak drobne na pozór działania ludzkie, które już w swem założeniu kryją świadomą zgodę na ten ubytek i one to powodują zatratę wartości zupełnie realnych, za które ktoś kiedyś wyłożył pieniądze. Ile te straty, zesumowane na przestrzeni dziesiątek lat wyniosły, trudno rzecz prosta obliczyć. Nie ulega jednak najmniejszej kwestji, że za te sumy możnaby niejednemu państwu pomóc w jego kłopotach. Zapoznajmy się z kilkoma przykładami:



I skrawki materjałów, które odpadają przy szyciu ubrań męski i sukien damskich...



II pociski, które chybiły celu...



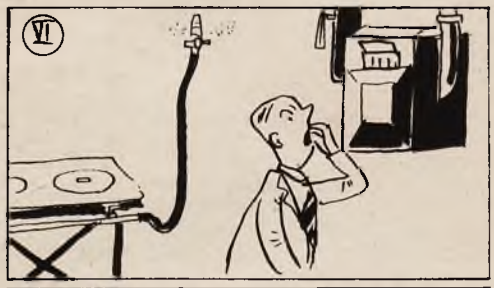
III resztki ołówków, niewypisanych do końca...



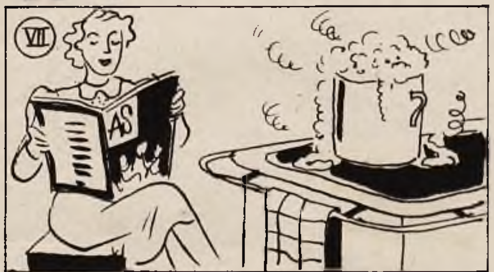
IV naczynia, stłuczone przez nieostrożną służbę...



V piwo, które wylewa się przy napełnianiu kufli...



VI prąd elektryczny i gaz, uchodzące wskutek wadliwych przewodów...



VII mleko, które wykipiało...



VIII potrawy nieskonsumowane...



IX gaz, uchodzący z wody sodowej...



X praca ludzi, która nie przyniosła zamierzonych rezultatów...

i t. d. i t. d.

Może nie każdy z was zgodzi się na to, aby wartość piwa, mijającego się z kuflem spragnionego piwosza identyfikować z wartością np. stłuczonego naczynia, ponieważ w pierwszym wypadku nieostrożność sprzedającego była zamierzoną, w drugim zaś wynikła przez przypadek. Pozornie tak się wydaje. Nie należy jednak zapominać o tem, że i to tłuczenie naczynia przewidziane jest w budżecie dobrze prowadzonej restauracji. Podane wyżej przykłady nie wyczerpują ani w części zachodzących w życiu możliwości. Obserwujcie je pilnie, a uchwycicie niejeden temat do analogicznych rozważań. J. L.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). — TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.
PRZEKAZ ROZRACHUNKOWY Nr. 11 PRZEZ URZ. POCZT. KRAKÓW 2

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

CENY OGŁOSZEN: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600 Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor. prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie. przyjmujemy

Numer 35 **Niedziela 29 sierpnia 1937** **Rok III**

ASY NUMERU 35-GO:



Fot. Cz. Datka — Katowice.

Tegoroczne, trzecie z rzędu „Święto Gór", które odbyło się w Wiśle na Śląsku Cieszyńskim, stało się potężnym wyrazem naszych regjonalnych walorów i poważnym współczynnikiem propagandy turystycznej. W ramach Święta odbyły się ciekawe pokazy tańców regjonalnych, tradycyjny obrzęd żywieckich mieszczan i wiele innych imprez. Na zdjęciu P. Prezydent R. P. przygląda się defiladzie grup regjonalnych. Przed trybuną P. Prezydenta idą górale z Nowego Targu.

PIĘKNO W METAL ZAKLĘTE



Wazon kuty w metalu.



Puhar.



Wazon i paterka.



Serwis do kawy.



Popielniczka.



Puhar jako nagroda sportowa.



Imbryk.



Nagroda sportowa.

Każda epoka wyraża swą treść artystyczną nietylko za pośrednictwem malarskiej i rzeźbiarskiej twórczośc, lecz również w dziedzinie artystycznego przemysłu, którego początku szukać należy u kolebki ludzkości.

Od przedmiotów, kutych w kamieniu, bronzie, czy żelazie, epoki otrzymywały swe nazwy. Poprzez tysiące lat wzbogacał się skarbiec twórczości artystycznej, wyrażonej w użytkowych przedmiotach, a każdy wiek dorzucał nowe dzieła sztuki krystalizujące w swych różnorodnych formach coraz to inne piękno i coraz to inny charakter swej epoki.

Jak przebogatą była fantazja dawnych ludów, jak wielkie było bogactwo i różnorodność kształtów i materjałów, świadczą przedmioty, znalezione w grobach Faraonów, amfory greckie, bronzy pompejańskie, ozdobione szlachetnymi kamieniami romańskie kielichy kościelne, kute w złocie i zaludnione fantastycznemi postaciami arcydziełka sztuki Benvenuta Celliniego, opasłe w ornamenty barokowe augsburskie kufle, z epoki saskiej, fantazyjne zjawy szklane z Murano, lub wreszcie skromne cynowe nasze misy, herbowe talerze i roztruchany.

Po zgaśnięciu wytwornej epoki empirowej, XIX wiek powstrzymał dotychczasowy triumfalny pochód artystycznej myśli, a wyrzucił z otchłani fabryk masy standaryzowanych w swej brzydocie, użytkowych przedmiotów. Taniość i praktyczność wygnały na długie lata piękno i wdzięk.

Dopiero na skutek reakcji obozu angielskich estetów i artystów, któremu przewodzili William Morris, John Ruskin, Burne-Jones odradza się przemysł artystyczny, zaszczepiony świeżą twórczą fantazją.

Wnętrze polskiego domu od wieków było retrospektywnym zbiorem odziedziczonych po przodkach przedmiotów, pochodzących z różnych krajów i epok. Tworzyło ono barwną mozaikę przeróżnych stylów i przetrwało w swej formie niemal do naszych dni.

W czasie ostatniego międzynarodowego konkursu na współczesne zastawy stołowe, urządzonego w Ipsie, okazało się, iż wszystkie narody, biorące udział w tej ciekawej konkurencji, posiadały przedmioty wykonane w swoim kraju, z własnych materjałów i skomponowane przeważnie przez współczesnych swoich artystów. Jedynie zastawy stołów polskich musiano zapożyczyć z dawnych epok i przystroić w cudze piórka.

Paryż, Wiedeń jak dawniej tak i dziś, dostarczają nam nietylko wzorów przemysłu artystycznego, ale nawet i samych kosztownych swoich wytworów.

Poziom artystyczny fabrykowanych u nas zastaw stołowych, dopiero w ostatnich kilku latach zaczyna się podnosić, dzięki często anonimowej współpracy, naszych utalentowanych artystów, z których niestety niewielu poświęca się metaloplastyce i ceramice.

Rezultatem nikłej współpracy artystycznej są nagrody sportowe, ofiarowywane nieraz zagran. sportowcom, a będące dowodami złego smaku.

Utalentowana warszawska artystka rzeźbiarka Julja Keilowa zrozumiała współczesne zadania polskiego plastyka i rozpoczęła wdzięczną pracę na rozłogach metaloplastyki.

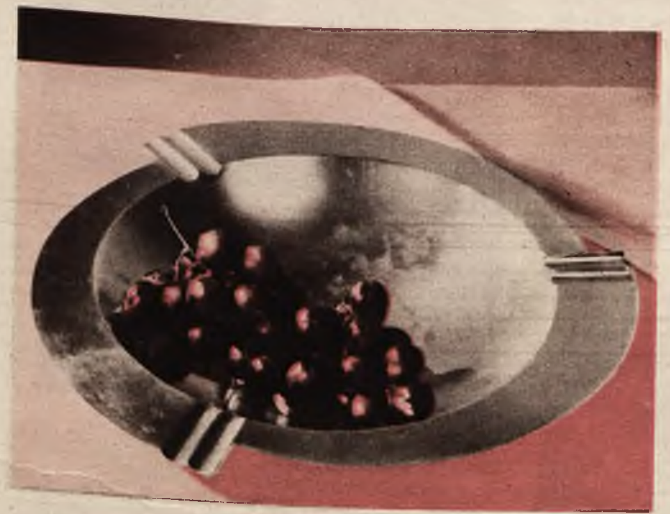
Julja Keilowa spełnia wdzięczną misję w stolicy, projektując liczne modele użytkowych przedmiotów, kutych w srebrze lub w białym metalu.

Jak widać z załączonych ilustracyj prace Julji Keilowej odznaczają się głębokiem zrozumieniem wszystkich właściwości i zalet metalu, z którego artystka wydobywa odpowiedniem ukształtowaniem formy, szlachetny charakter materjału. Zracjonalizowane kształty naczyń ułatwiają ich użytkowość. Odrobiona kunsztownie powierzchnia lśni blaskiem swego własnego życia, a patery, wazy i popielnice Keilowej harmonizują doskonale z współczesnem wnętrzem mieszkaniowem.

Julja Keilowa lubuje się w kompozycji geometrycznych brył, unikając zawsze niepotrzebnych ornamentalnych afektacyj. Stąd prace jej związane są z elementami współczesnej formy architektonicznej i harmonizują z wnętrzem Należy się radować, iż dzieła utalentowanej artystki znalazły się w naszym pawilonie wystawowym w Paryżu, gdzie świadczą chlubnie o polskich ambicjach w kierunku znalezienia własnego wyrazu plastycznego.

Marjan Dienstl-Dąbrowa.

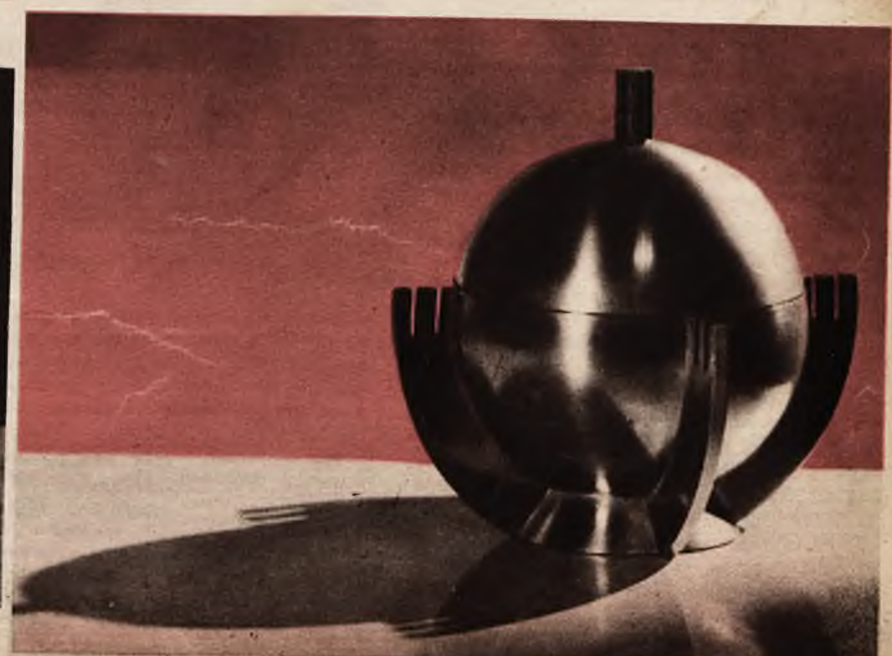
WSZYSTKIE ZDJĘCIA FOT. DORYS — WARSZAWA.



Patera.



Patery na owoce.



Cukiernica.

KWIAT PUSZCZY



Są kwiaty, wnoszące z sobą atmosferę miłą, kojącą, radosną i czystą, jak obecność dziecka. Są kwiaty, uważane za symbol sympatji, przyjaźni, tchnące miłością, które lud osnuwa poezją legend, składając je w hołdzie u ołtarzy Madonny. I są kwiaty trujące, których niesamowite piękno budzi niepokój, a których zapach ma w sobie coś z grzechu. Do takich należą wspaniałe okazy storczyka tropikalnego, hodowanego już i w naszych cieplarniach. Ich niesamowity urok odczuł już dawno pierwotny, żyjący ściśle z naturą człowiek, którego równie, jak uczonego uderzył odrębny wygląd i tajemniczy tryb życia storczyka. Oto na wyspach moluckich istnieje legenda, nazywająca storczyk (Vanda scripta) „Kwiatem z raju" lub „kwiatem grzechu". Legenda ta mówi, że kwiat storczyka jest dziełem złego demona, a zakwitnął on całą krasą, na drzewie, przy którym Ewa popełniła pierwszy grzech. Kobieta, opuszczając rajskie ogrody, przeniosła go we włosach na ziemię....

Właściwą kolebką storczyka są parne, nieprzebyte puszcze podzwrotnikowe, gdzie liczne ich girlandy stroją pnie starych, olbrzymich drzew. Istnieje — dotąd poznanych — około 8000 gatunków storczyków, w tem również żyjące i u nas. Ale w umiarkowanym klimacie storczyk niewiele ma przedstawicieli i nie odznacza się ani buj-



nością, ani taką wykwintnością kształtów i barw, jak w klimacie tropikalnym. U nas wyrastają z ziemi, z bulwy lub korzenia, zaś podzwrotnikowe szukają stanowisk wysoko na drzewach, jako narosty; nie są więc pasorzytami, bowiem pobierają pożywienie z powietrza i z wilgoci.

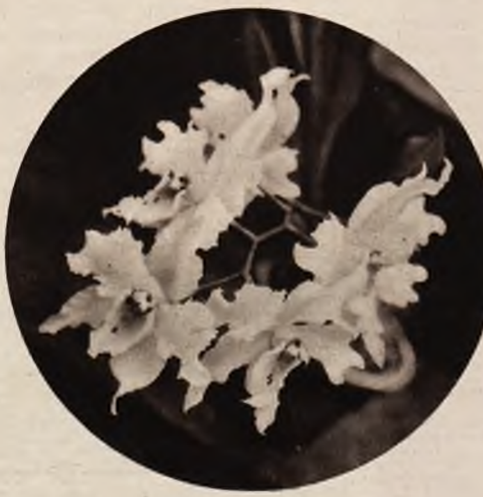
Storczyki istotnie zasługują na nazwę osobliwych. Przyroda stwarzając je, jakby w momencie kaprysu, wysiliła się na oddanie śmiałych pomysłów, nietylko wysoce artystycznych, ale finezyjnie wyszukanych, czy to zestawiając często w jednym kwiecie barwy dysonansowe, czy to nadając im najfantastyczniejsze formy. Nawet poszczególne płatki kwiatu mogą mieć różne kształty; gładkie lub pierzaste, podobne do piór kolibra; o brzegach fryzowanych, karbowanych. W ubarwieniu wielkich, pojedynczych kwiatów, czy drobnych, zebranych w grona, kłosy, czy wiechy, wykazują storczyki prócz błękitu wszystkie kolory tęczy i to od najintensywniejszej barwy, prawie czarnej, do nieskazitelnie białej.

Kwiaty storczyków zapylają owady, poszukujące miodu i każdy rodzaj storczyka musi posiadać specjalnego gatunku owada, przystosowanego ściśle do niego swoją budową, inaczej zapylenie nie dojdzie do skutku.

Długi czas intrygowała botaników zagadka, dlaczego pewne storczyki, rozkwitłe utrzymują się nawet miesiącami świeżo, gdy inne, nawet na tej samej roślinie więdną, choćby wczoraj rozwinięte. Skrupulatne badania wyjaśniły tę zagadkę. Pośrednim powodem nagłego zwiędniecia kwiatu jest zapylenie, a więc manewr ochronny przed powtórnem wtargnięciem owadu. Bezpośrednia przyczyna jest jeszcze ciekawsza. Oto na szyjce słupka kwiatowego, ukrytego głęboko we wnętrzu, znajduje się ściśle określone miejsce, które bardzo łatwo może być skaleczone i skoro je owad dotknie — kwiat natychmiast więdnie. Dojrzały do miłości kwiat w tęsknocie może długo nawet oczekiwać na swego posłańca miłości, który pośredniczy między kwiatami. Po wizycie owadu kwiat taki niestety szybko okupuje

Na lewo: Orchidea „koronkowa" należy do najrzadszych gatunków tego kwiata.

Na prawo: Delikatne kropki na jasnem tle stanowią w jednym z gatunków orchidei uroczą dekorację.



Rzadka odmiana orchidei.

śmiercią spełnienie swych pragnień. Delikatne płatki kwiatu więdnąc tak nagle, kurczą się i często zatykają odwrót i wycofującemu się owadowi. Wtedy posłaniec miłości musi umierać wraz z kwiatem, któremu służył...

Po zapyleniu rozwija się bardzo powoli nasienny owoc, dojrzewający jednak dopiero po roku.

Jeszcze osobliwsze zjawisko przedstawia kiełkowanie niektórych storczyków. Maleńkie nasionko, np. wanilji (także storczyk) szybko pęcznieje i kiełkuje, jeśli dostanie się w dogodne warunki. Nagle jednak — o dziwo — wzrost i rozwój dalszy zostaje zahamowany, bez widocznej przyczyny i w stanie takim, zaledwie półmilimetrowa zielona roślinka, trwa nawet miesiącami, gdy inne normalnie się rozwijają.

Tę kapryśność storczyka, długo intrygującą botaników, wyjaśnił wreszcie przy pomocy mikroskopu nasz ziomek, botanik Warszewicz, który wiele lat poświęcił na badanie storczyków, w puszczach brazylijskich. Stwierdził on, że pewne storczyki dopiero wtedy mogą się z kiełka rozwinąć w doskonałą roślnę, gdy w jego komórki wtargnie specjalny grzybek, wywołujący jakąś reakcję chemiczną, która pobudza rozwój. Grzybek, dostawszy się do komórki kiełka, jak prawdziwy pasorzyt, opanowuje ją, rozrasta się w niej tak silnie, że wkrótce samo jądro zostaje zepchnięte i przyparte do ścianki. I teraz występuje może najosobliwsze zjawisko w życiu „demonicznego" storczyka. Jądro komórkowe, zachowuje się dotąd potulnie, wobec inwazji intruza nagle zaczyna się ożywiać; wypuszcza wyrostki, żywo krążyć i przystępuje do ataku. Naciera na grzybek, chwyta po kolei jego włókna i wysysa je dokładnie. Po tak drapieżnym napadzie i zniszczeniu grzybka, z którego pozostaje tylko bezkształtna, sucha masa, syte już jądro komórkowe cofa się na swoje dawne miejsce. Tu-



taj znowu przyczajone oczekiwać będzie na nową inwazję grzybka, z którym tak samo się upora, bezwzględnie i okrutnie.

Zaiste dramatyczne to zakończene współżycia storczyka z grzybkiem! Cicho rozgrywająca się walka o byt w mikroskopijnym świecie komórki. Podziwiając przepyszny i subtelnie piękny kwiat storczyka podzwrotnikowego trudnoby było go posądzać o tak okrutne i drapieżne czyny, a jednak może właśnie one wyciskają na „fizjognomji" storczyka owe demoniczne piękno. Żyjący ściśle z przyrodą dzikus instynktownie odgadł tajemnicę tego kwiatu, jak ją odczuwa każdy z nas w niesamowitej piękności orchidei.

Z. Królowa.

Rzeźby kaplicy San Severo



„Rozczarowanie" — oto ciekawa pod względem artystycznym rzeźba dłuta Quirolo, symbolizująca miłość ojca fundatora kaplicy ks. Rajmunda di Sangro.

Jednym z najwspanialszych i najciekawszych kościołów w Neapolu jest bazylika O. O. Dominikanów (San Domenico Maggiore). Najznakomitsze historyczne rody arystokratyczne w Neapolu jak: Caraffa, Caracciolo, Capece, Rota, Saluzzo posiadają w tej świątyni swoje kaplice z licznymi ciekawymi grobowcami i pomnikami przeważnie w stylu odrodzenia. W zakrystji tej świątyni mieści się Panteon Aragoński. Nad krużgankiem w górze dookoła ścian zakrystji mieści się 45 dużych drewnianych trumien okrytych aksamitem, z których 10 zawiera zwłoki książąt panujących domu aragońskiego. Spoczywa tam między innemi Izabella Sforza, matka królowej Bony, żona Jana Galeazza Sforzy, pochowanego w Certosa di Pavia pod Medjolanem.

Tuż obok wymienionego kościoła Dominikanów w Neapolu znajduje się niewielka, nieczynna już dzisiaj kaplica S. Maria della Pietà de Sangri, zwana powszechnie także kaplicą di Sansevero (Capella di Sansevero), wchodząca w skład pałacu rodziny di Sangro di Sansevero, przeznaczona w siedemnastym wieku na miejsce wiecznego spoczynku dla członków tej rodziny. Kaplica jest zwiedzana przez licznych cudzoziemców dla kilku niezmiernie ciekawych marmurowych rzeźb. Zabobonny plotkarski lud neapolitański oddawna wierzył, że w tej kaplicy mieszkają złe duchy, a może i szatan ją odwiedza. Kaplica ta należy — jak już wspomnieliśmy — do słynnego żyjącego do dziś dnia rodu di Sangro. W pałacu tym obok powyższej kaplicy rozegrała się w roku 1590 krwawa tragedja w nocy na 18 październik. W pałacu mieszkała młoda para książęca, książę Carlo Gesualdo ze swoją małżonką uroczą Marją de Avalos. Była ona wtedy po raz trzeci już zamężną mimo młodego wieku. Nawiązała wtedy znowu stosunek miłosny z żonatym arystokratą neapolitańskim Fabriziem Caraffą, księciem di Andria. O jej względy starał się równocześnie Giulio Gesualdo, ale bezskutecznie. — Z zemsty za niepowodzenie powiadomił on o zdradzie oszukiwanego męża Carla. Ten, dowiedziawszy się o zdradzie żony, zaczaił się pewnej nocy, wpadł cichaczem z kilkoma towarzyszami do sypialni księżnej i zastał tam Caraffę. Oczywiście Carlo zasztyletował kochanka żony i ją samą. Lud neapolitański uwierzył po tej zbrodni, że na miejscu krwawej tragedji djabeł objął swoje panowanie. Szczegóły podaje dokładnie Kazimierz Chłędowski w swoich „Historjach Neapolitańskich".

Kaplica di Sansevero była kilka razy przebudowywaną i odnawianą w czasach dawniejszych. Najwięcej przyczynił się do jej upiększenia i wzbogacenia książę Raimondo di Sangro w osiemnastym wieku. Ten zamożny grand hiszpański, był synem Antonia di Sangro i Cecylji Gaetani d'Aragona, która zmarła w rok po urodzeniu Rajmonda. Antonio po przedwczesnej śmierci ukochanej żony nie mógł się pocieszyć. Wychował syna Rajmonda, sierotę, a potem przywdział habit zakonny i zmarł w późnym wieku w r. 1757. Syn Rajmonda postanowił artystycznem dziełem uczcić pamięć ojca w rodzinnej kaplicy Sansevero, to też sprowadził wziętego wówczas artystę rzeźbiarza genueńskiego Franciszka Quirolo. Ponieważ ojciec jego Antonio był nieszczęśliwy ze względu na wczesną śmierć żony, postanowił Rajmondo zawiedzione nadzieje życiowe ojca przedstawić w alegorycznej rzeźbie. Istotnie Quirolo rzeźbę taką na cześć Antonia di Sangro wykonał z jednej bryły marmuru i do dziś dnia znajduje się ona w kaplicy Sansevero. „Rozczarowanie" (Disinganno) brzmi jej nazwa. Nagi mężczyzna uwikłał się w zdradliwą sieć rybacką i stara się z niej wydobyć, w czem pomaga mu skrzydlaty chłopczyk z koroną i płomykiem na głowie — opiekuńczy genjusz i własny rozsądek. Posąg ma wyobrażać wyższość genjuszu, który jedynie może wyswobodzić człowieka z więzów materjalizmu i ze sieci wstępków. Artysta Quiorolo zadał sobie wiele pracy przy rzeźbieniu olbrzymiej sieci, zakrywającej większą część ciała owej męskiej postaci. Pracą tą mianowicie, techniką i zręcznością wzbudził Quirolo taki zachwyt, że postać wykutą wraz z siecią z jednej bryły marmuru uważano za największe arcydzieło mistrza.

Rajmondo di Sangro uczcił także w tej samej kaplicy pamięć matki podobnem dziełem rzeźbiarskiem. Antonio Corradini, znany artysta neapolitański w osiemnastym wieku wykonał na jego zamówienie z marmuru postać, przedstawiającą alegorycznie „Wstydliwość" („Pudicizia"). Jest to młoda kobieta przykryta od stóp do głów przejrzystą gazą (z marmuru), która pozwala dostrzec piękną budowę jej ciała. Gaza z marmuru uderza swoją delikatnością materjału. Historycy sztuki wiele zarzucają tym dwom rzeźbom, między innemi K. Chłędowski w „Historjach Neapolitańskich" nazywa „Pudicizię" dziełem wprost nieprzyzwoitem, świadczącem o upadku szuki neapolitańskiej w 18 wieku, oraz o upadku smaku artystycz-



„Wstydliwość" — rzeźba dłuta artysty Corradini w kaplicy San Severo w Neapolu.

Dokończenie na str. 31.

WŚRÓD NAJMŁODSZYCH GWIAZD

Irena Szabelakówna

Dopiero przed rokiem opuściła mury Państwowego Instytutu Sztuki Teatralnej w Warszawie, otrzymując z miejsca engagement jako amantka liryczna do miejskiego teatru w Bydgoszczy. Rok pracy na scenie — to w pewnych wypadkach bardzo mało. Zwłaszcza w Warszawie, gdzie niejednokrotnie przez cały sezon teatr wystawia dwie, trzy szuki. W takich warunkach mogą się „wygrać" tylko aktorzy biorący udział w sztuce, podczas gdy pozostała część zespołu... oczekuje na swoją kolejkę. Ale i pracujący w danej chwili artyści, grając miesiącami jedną sztukę, nie mogą zasmakować w rozmaitości ról i tworzonych przez siebie kreacjach.

Może więc dobrze się stało, że los skierował młodą adeptkę sztuki teatralnej do Bydgoszczy, gdzie z konieczności premjera odbywa się regularnie co tydzień. Szczupłość zespołu aktorskiego, a także niewątpliwie zdolności i talent artystki sprawiły, że przez cały rok swej pracy na scenie bydgoskiej Irena Szabelakówna grała dzień w dzień, jak w kalejdoskopie zmieniając swe role. Z większych kreacyj, a było ich kilkanaście, wymienimy Anielę z „Wielkiego człowieka do małych interesów", Mizzi w słynnej „Trafice Pani Generałowej", Juljettę w „Carewiczu", oraz rolę Zofji w operetce Kalmana „Djabelny jeździec".

Jak widać z tego krótkiego zestawienia, Irena Szabelakówna grywa zarówno liryczne, jak i charakterystyczne amantki, a także — obdarzona miłym mezzosopranem — śpiewa w komedjach muzycznych. Skala i możliwości rozwinięcia się talentu — olbrzymie.

Artystka wygląda zawsze na scenie nadzwyczaj efektownie. W recenzjach, z reguły dodatnich, podkreślają sprawozdawcy zawsze ów wdzięk młodej aktorki, a także wykwintny gust, z jakim się ubiera. Dla artystki to bardzo ważne.

Zbliżający się nowy sezon teatralny zastanie Irenę Szabelakównę już poza Bydgoszczą. Właśnie w tych dniach została ona zaangażowana do teatru w Sosnowcu. Rozpocznie się tam sezon efektowną komedją Niewiarowicza „Gdzie djabeł nie może....", graną obecnie z tak niesłabnącem powodzeniem w Teatrze Letnim w Warszawie. W komedji tej panna Irena zagra główną rolę kobiecą, w której będzie miała szerokie pole do popisu i możność zdobycia sobie wstępnym bojem publiczności sosnowieckiej.

Romit.



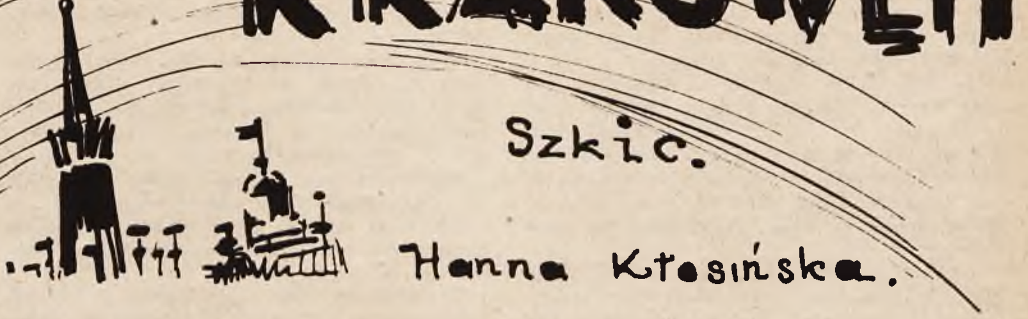
Irena Szabelakówna w jednej ze swych doskonałych kreacji scenicznych.

Fot. Rafael — Warszawa.



TĘCZA nad KRAKOWEM

Szkic.



Hanna Krasińska.

W małym gabinecie Grand Hotelu Stach Przybyszewski grał na fortepianie jakąś tęskną melodję Chopina, a w jej zaczarowany takt kiwali się malowani na ścianach Zawisza i Wernyhora, Władysław Warneńczyk i kumoszka ze Szczepańskiego placu. Matejkowski kolor i fantazja udekorowały tę salę, jak muzeum. Muzyka przeszła niespostrzeżenie na krętą i zawadjacką melodję mazurka. I zaraz ruszyło się na ścianach. Pan Twardowski zleciał z koguta, puszczając się w tany ze srebrną Barbarą, aż mu wyloty amarantem zagrały, a kontusz się odwinął, ukazując podbicie ze złocistego aksamitu. Rozmaite Boruty wycinały chołupce, ożywając na heljograwurach, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, a dyrygował niemi najdziwniejszy człowiek swego pokolenia, nazwany przez przyjaciół „smutnym szatanem". Choć w tym czasie prócz artystycznej biedy, niewiele miał pan Przybyszewski powodów do tragicznego wyglądu. Nic jeszcze nie chmurzyło jasnego nieba nad jego domem, ukrytym w drzewach, jak gniazdo, tuż przy zbiegu ulic Siemiradzkiego i Karmelickiej. Chopin i literatura budowali nad tą szaloną głową iście gotyckie sklepienie, że mieszkał pod niem, jak w katedrze. Młodzi poeci i wszelkie bractwo, należące do zakonu św. Jacka (Malczewskiego) uwielbiało go, a oparta o fortepian żona, śliczna Dagny, nazywana przez niego pieszczotliwie Duchą, patrzyła mu w oczy błękitnemi, mocnemi, czarodziejskiemi źrenicami. Stała spokojnie wyprostowana i smukła, jaśniepańska w koronie rdzawych warkoczy, zwrócona do światła klasycznym profilem. Stała tak właśnie, jakby przyrosła do jego muzyki, jakby drobnemi stopami wrosła w samo serce chopinowskiej melodji. I nic jeszcze nie zapowiadało jej odejścia. Nic nie nasuwało na myśl przypuszczenia, że ta urocza kobieta odejdzie daleko, własną, romantyczną drogą, ku tragicznej śmierci i jeszcze tragiczniejszej miłości.

Lucjan Rydel wyraźnie się już niecierpliwił. Z wielkiego zagniewania targał bujną, niesforną czuprynę i raz po raz przecierał binokle chusteczką pani Przybyszewskiej, która przestraszona patrzyła, jak strzęp drogocennej koronki zamieniał się w szmatę. Lucjan, jak większość gości miał już zaprószoną głowę, więc Wernyhora kiwał mu się w oczach, jak żyd nad Talmudem. Nie lubił tej muzyki, trochę upiornej, zawsze zalatującej melancholją, w takt której poruszały się malowane czarty. A jednak sam nie wiedząc o tem, popadł pod ten kolorowy urok i znalazł się w „Zaczarowanem Kole". Bo ten swój poemat napisał pod urokiem czartów ze ściany gabinetu w Grand Hotelu, zamienionego na literacką knajpę i pod czarem bolesnej muzyki Stacha Przybyszewskiego.

Ach, ta melodja ćwiartuje duszę. Stach gra, jak potępieniec, jeździ łapami po klawiszach, jakby czwórką koni, trzaska paluchami, jak z bata. I gdzież on tak pędzi? Na czarną mszę do czarnego kościoła? Zaiste djabelska jazda.

Czekano na Wyspiańskiego. Spóźniał się. I to właśnie dziś 18 września 1900 roku, kiedy zapowiedziane było gremjalne pijaństwo i koncert chopinowski. Coprawda był smutnym i milczącym towarzyszem. Krył swoje myśl w ironicznym uśmiechu i w spojrzeniu pełnem rozdzierającego smutku. Ciężkiem spojrzeniu, które można było znieść tylko przy winie. A przecież jakże brakowało go tym, którzy licząc uderzenia godzin, ciągle jeszcze na niego czekali z winem, sercem i piosenką.

Tego wieczoru nie przyszedł.

Był u siebie w kamienicy Barszczowej na placu Marjackim. I nie miał wcale zamiaru wychodzić z domu. Stał w oknie i patrzył na mocno niebieskie niebo nad Sukiennicami. Patrzył, jak kapały gwiazdy, niby złote krople miodu, prosto w alabastrowy ul bajecznej attyki Sukiennic.

Kościółek św. Barbary podnosił ku niebu galeryjką, jak wiankiem, ukoronowane czoło. A w szafirze prawie granatowym, pogodnej czyste nocy srebrne iglice wież Marjańskich przebijały niebo.

Tam właśnie, w tem wnętrzu kościelnem, jak to niebo niebieskiem i usianem sztucznemi gwiazdami, przeżył swojo najpiękniejsze lata.

Miał tuż przy zachwyconych oczach różowe stopy barokowych aniołów i gotyckie róże witraży. Polichromja matejkowska, której sam był współtwórcą, zalewała mu oczy boskim kolorem nieba i wina. Siedział pod sklepieniem, zaczajony w mroku, jak pająk, snując wkoło siebie przędziwną, czarodziejską tkankę z kwiatów i renesansowych sztukateryj.

Ileż bo marzeń, tam wyrosło, prostych i wysokich, jak drzewa. Marzenia jego miały bujne konary i żywą, zieloną urodę. Na każdej myśli, jak na liściu brzozy wisiały drobne pawie oczy — deszczu, który przeszedł nad młodością artysty, kończąc się wspaniałą tęczą, której cień padł na wszystkie krakowskie kościoły, dając im zamiast okien witraże, patrzące na ludzi z pod gotyckich sklepień oczami zaczarowanych aniołów.

Stanisław Wyspiański, który tym aniołom dawał skrzydła i ciało, stał się dla swojej epoki więcej symbolem, niż człowiekiem. Ale w tym symbolu biło żywe, ludzkie, spragnione miłości serce.

Popod stare magnackie pałace, obrosłe legendami, włóczyło się, jak bezpański pies, to serce największego poety, kołacząc do zamkniętych średniowiecznych bram, z bronzowej kraty i dębu.

Mokre od łez, a duszne od woni rezedy, róż i renesansu — były wieczory krakowskie. Miasto mieszkało w legendzie, jak w domu i pogrążało się w opinji świętości. Miasto spało w lunatycznym śnie pod księżycem, którego srebrne rogi wyrastały nad Barbakanem, jak rogi świętego jelenia.

J e g o miasto. W bajecznem oświetleniu majaczą glorjety kamienic, urodzone z włoskiego natchnienia, wycinają się misterną płaskorzeźbą, rzeźbione, jak w kości słoniowej lekkie attyki, w srebrnym mroku kościół św. Barbary kuli się jak szara róża jerychońska. Frywolne, renesansowe balkony kruche, jakby z pianki morskiej, płyną nad Krakowem po rzece chmur, jak gondole na weneckim kanale. Czekają na zakochanych. Na Barbarę i Zygmunta Augusta. Na Marysieńkę i Jana Sobieskiego.

A przyjaciele w Grand Hotelu czekają na niego z wódką i Chopinem. Szaleje pewnie na fortepianie w djabolicznych warjacjach poczciwy Stach-Lucyfer. Niech czekają! Dziś się go nie doczekają! Ten wieczór należy do niego, tylko do niego.

A poczciwy Rydel swoim zwyczajem pewnie gada, gada, na śmierć ich zagada.

I wciąż ta sama ballada
Deszcz pada, pada, pada,
Rydel gada, gada, gada,
I znów ta sama ballada,
Rydel gada gada, gada,
Deszcz pada, pada, pada...

A Ducha Przybyszewska patrzy na drzwi swemi urokliwemi, wielkiemi, jak gwiazdy oczami, ubrana w niebieską jedwabną suknię z bufami i poufem, pocerowaną na łokciach i już niemodną. Czemu przypomniały mu się te cery na łokciach, wielkości talarów Marji Teresy? A jakże ona umiała nosić tę pańską tandetę! Te jej gesty nieopowiedziane pełne wdzięku, czaru, dumy, kokieterji, ironji...

Pamięta ją przy fortepianie, kiedy grała sobie i jemu smutne pieśni swojej dalekiej północnej ojczyzny. Kiedy to melodja chwyciła go szponami za serce i ssała z niego wszystką krew. Nie wiadomo co grała, jaką pieśń i czyją, ale jej tęsknota płynęła po fortepianie, jak gorzka, słona woda... Nawet maleńki synek Przybyszewskich wyczuł ten motyw pieśni, bo spytał matki, gdy grać przestała:

— Mamo, jakiemi ty łzami płakałaś?

A niechże sobie płacze jakiemi chce łzami, razem z Chopinem. Dziś jej nie zobaczy.

Nad Krakowem stoi noc. Granatowa. Gwiazdolica. Kolor nieba zapada w zmękane serce. Szczęście takie bliskie, takie proste, takie własne chodzi koło pana Stanisława w szumie krochmalonych spódnic i szczerku ustawianych na stole talerzy. Za

chwilę miły, młody głos zawoła go na kolację. Z kimś bliskim i serdecznym po raz pierwszy w życiu podzieli się swoim chlebem.

Więc raz jeszcze kłania się gwiazdom Krakowa przesadnym gestem wesołego studenta, który nagle odkrył w sobie poetyczną i chłopięcą duszę średniowiecznego żaka.

A jednak nęci go dusza Krakowa, jak dziwożona. Wystarczy tylko zejść z dwóch pięter na ulicę, by złapać za włosy zieloną, wiślaną, gotycką młodość. Raz jeszcze przypomnieć sobie marzenie o kaplicy z witraży, którą chciał stawiać na Wawelu, według wzorów Michała Anioła. Szkielet miał być z ciosu, a okna z witraży, przedstawiających Stworzenie Świata, Ukrzyżowanie, Sąd Ostateczny, a wszystko w delikatnej ramie kwiatów, które tylko on jeden tak malować umiał, że każdy kwat obdarzał inną twarzą.

A gdyby tak pójść na Florjańską do domu Matejki, gdzie za życia wielkiego mistrza prawie codziennym bywał gościem. Raz jeszcze drżącemi rękami dotknąć liturgicznych strojów z piętnastego wieku, krzyży wysadzanych brylantami, zbroi z srebrnej łuski, starych grających zegarków, gdańskich szaf, inkrustowanych kością słoniową, pogłaskać dłonią złote czepce kobiet i czapeczki z pereł, tak pieszczotliwie, jakby pod tym stroikiem biły tętna w żywej główce kobiecej.

Wzruszony był zawsze, ile razy Matejko pokazywał mu nowy nabytek, strzęp klejnotami lub złotemi nićmi szytej tkaniny, której zamierzał dać ciało i kształty.

Chciałby tam pójść, stanąć w uroczej niszy, oświetlonej lampką przed obrazem Matki Boskiej. Spojrzeć na różę gotycką na suficie, na szerokie łóżko z ciemnego orzecha, przykryte purpurowym, zniszczonym kobiercem. W tej niszy umarł Matejko. Ostatnie jego spojrzenie padło pewnie na tę różę w suficie. Bajeczną w rysunku różę.

Pod szklanym kloszem na czerwonym jedwabiu leży maska pośmiertna, zdjęta z tej głowy, najbardziej przez niego kiedyś kochanej. Charakterystyczne matejkowskie rysy, o wyrazie pysznym i ironicznym, z załamaną linją nosa i wklęsłym rysunkiem oczodołów, w których mieściły się kiedyś czarne jak węgle, groźne oczy, które jednak umiały czasem patrzeć prosto w serce słodkiem, kojącem spojrzeniem.

Wieczory, wieczory krakowskie, ileż ich przeżył w czasie swej krótkiej, tragicznej młodości. A każdy z nich był inny. Zmieniały się jak kwadry księżyca.

Najpiękniejsze były te, które spędzał w kościele św. Krzyża i z których się tak często spowiadał:

„Po całodziennem rysowaniu miło tam było pod wieczór, o zmroku, gdy już cień jesienny szybko ogarniał wnętrze gmachu, siedzieć na tych wyżynach, pod sklepieniem, na barokowym jakimś odwiecznym fotelu i patrzeć, jak na rozpięte baldachy cudownego sklepienia biły łuny z żarów koksowego pieca, rozświetlając strojną koronkę splotów włoskiej mody. — Łuny przy zmroku biły na ściany mdławo i cienie figur biskupich patrzyły się wielkiemi oczami, pełne zadumy, grozy, ciszy: starców głowy wyraziste, o zapadłych policzkach, brodate długiemi siwemi brodami Saturna... Patrzyły przez chwilę oczyma Hozjusza, Krzyckiego, Tomickiego: zgarbione pod ciężkiemi zwojami płaszczów fałdzistych, słuchały... jak w głosach wieczornego dzwonienia aniołów pańskich... doleci od Wawelu głos stłumiony wielkiego tego dzwonu króla, co żył wtedy. Piec dogasał, łuny bladły, a w zmroku ginęły cienie i mary tęgiego renesansu".

Tak wyglądała jego młodość, która kształtowała jego chore, zgnębione serce do wielkich przeznaczeń.

Jak kwadry księżyca zmieniały się wieczory... Miesięczna poświata stała nad miastem jak gloria, to znów w stronę Błoni i Bronowic wybiegały na niebo tęcze. A on był ciągle samotny. I tęsknił aż do dzisiaj. Bo dzisiaj tęcza stała i nad jego domem (pożal się Boże, jeden pokój na II piętrze) i snuła się po kątach żywa w postaci dziewczyny w kolorowej sukience i w haftowanym gorsecie. Furkotała za nią siedmiobarwna fala wstążek i ciemno-złotych warkoczy.

Wyciągał ramiona do tej swojej żywej tęczy — poeta Panny Marji. Przyciągnął ją ku sobie za sznury koralli, by w ramionach zamknąć w jednej żywej dziewczynie — całą duszę Krakowa.

Myśli nawiązały się, jak korale na wstążkę, które dziewczyna nosiła na szyi:

„O, Boże, pokutę przebyłem i długie lata tułacze: dziś jestem we własnym domu i krzyż na progu znaczę".

18 września 1900 roku napróżno czekali go towarzysze hulanek i poetyckich uniesień. Jak zawsze, skryty i tajemniczy — zachował dla siebie tę sensacyjną wiadomość, że w dniu tym wziął ślub z prostą krakowską dziewczyną... Rano u Panny Marji...

— — — — — — — — — — —

Dziewczyna bajecznie kolorowa, Jadwiś — w paciorki haftowana, nie miała jeszcze lat szesnastu. W śliczną, jasnowłosą główinę wtłaczał pan Lucjan Rydel całą mitologię grecką i wszystkich klasyków. Sam zaś z miłości dziwne rzeczy robił, którym nie tylko lipy, obsiane drobniutkim kwiatem, ale i ludzie wsiowi się dziwowali. — Chodził w konkury, bez marynarki, boso, z podwiniętemi spodniami, ale z binoklami na nosie. Powszechnie swoim wyglądem gorszył bronowickich gospodarzy, którzy miłość, tak jak i śmierć, przyjmowali uroczyście, więc ustrojeni w odświętne surduty, nabijane blaszkami pasy i w buty z cholewami. Mawiała sobie wieś na ucho, że pan Rydel to uczony pan, mądry pan, ale strasznie źle wychowany.

Jadwisia tego nie widziała, że ich romantyczna sielanka zakrawa na groteskę. Miała lat szesnaście, a to jest właśnie wiek, w którym wiejskie dziewczęta pisują listy miłosne, zaczynające się od słów: „pozdrawiam cię przez listek róży i przez promień słońca, przez gałązkę jabłoni i przez kłóseczko żyta"... No, słowem przez cały zielnik plus konstelacje niebieskie. I tak też Jadwisia patrzała przez gwiazdy i róże na żałobną, bladą postać poety. On był mądry, umiał wiele rzeczy, ona zaś nic więcej nie umiała, prócz kochania. Więc kochała. Wziął ją zresztą na lep słodkich słów, co jak miód lgnęły do warg, ciągle nowe układał dla niej piosenki, a Jadwisia śpiewała je przy robocie w polu, przeraźliwie cienkim głosem, budząc podziw i zazdrość rówieśnic. Bo, posłuchajmy, chyba to jedna z najpiękniejszych miłosnych piosenek, którą pan Rydel w gościńcu przywiózł kochanej dziewczynie:

„Za Krakowem ciemny las,
Nad tym lasem tęczy pas
A ona daleko,
Gdzieś za siódmą rzeką,
Lecz Bóg tęczą złączył nas.

Kolorowych siedem smug,
Nad tym lasem rzucił Bóg,
Aniołowie noście
Po tęczowym moście
Serce moje do jej stóp...

Nawet nie dziwiła się Jadwisia temu pańskiemu kochaniu. Taka moda nastała w mieście, że się panowe z chłopkami żenią. Z jej starszą siostrą Hanusią pan Tetmajer się ożenił, a panicz był jak malowany, jak rycerz z księżyca. Zaś ojciec pana Włodzimierza marszałkiem był szlachty nowotarskiej, a brat w Paryżu mieszkał, z jaśnie panią ożeniony i wiersze takie uczone pisał, co ich nawet ksiądz proboszcz nie rozumiał. W trudniejszym od łaciny języku rymy składał.

Do Marysi, drugiej Jadwisinej siostry, też jakiś malarz, Boże się pożal, chłop kruchy, jak z porcelany, w konkury chodził. Nazywał się z cudzoziemska de Laveaux. Tyle, że umarł. Innej pociechy z niego nie miała.

A i pan Wyspiański, co to jest taki starszy w poetyckim cechu — chłopkę wziął.

Na wsi, na wiosnę kwitły romanse, jak czereśnie. I raz po raz z Bronowic do Panny Marji — szumnie, gwarnie, strojnie, w szumie wstęg, ukwieconych batów i pawich piór — jechało wesele.

I tak się już mieszczuchy przyzwyczaili, że ich biletami trzeba było do kościoła na ślub spraszać.

Kiedy się pan Tetmajer z Hanusią ożenił, to ludzie ciągnęli do Bronowic, jak na Kalwarję. Jak za szybą gablotki w Sukiennicach, trzeba im było pokazywać żywe krakowskie kukiełki. Przychodzili, jak na dziwowisko. A Tetmajerowie kochali się prosto, lecz z serca, taka zaś miłość z serca urodzona, kocha się sama w sobie i od ludzi stroni. Więc pan poseł z Hanusią, przed nieproszonymi gośćmi kryli się... w zbożu, a chałupę zamykali na wszystkie rygle.

Minęły czasy. Dzisiaj pan Lucjan targa czuprynę z wielkiej troski, czy jego wesele wywrze odpowiednie wrażenie w Krakowie. Wszystko już obmyślił. Role rozdzielił. Sam wybierał na jarmarku wstążki dziewuchom, co miały być drużkami, sam pawie pióra kupował dla drużbów i 10 sznurów prawdziwych korali i bursztynów dla młodej panny z miasta przywiózł. Od czegóż był poetą? Nawet piosenki na oczepiny sam ułożył, nawet dziewczynę uśmiechów uczył, dziw, że śpiewu ptaków nie wyreżyserował.

Jeżeli tego nie zrobił, to tylko dlatego, że ptaki już odleciały. Późna była jesień, kiedy poeta i Jadwisia ślub zawarli. Jaki ślub, Boże miły! Bajecznie kolorowy! Który pan Sewer Maciejowski przyrzekł w osobnej książce opisać. To miał być jego dukat na oczepiny dla Jadwisi.

Poszli w tany młodzi i starzy. W chacie im było zaciasno, więc jak wezbrany potok wylali się na gościniec, by tańczyć aż do rana.

Wiła się koło chałupy żywa tęcza. Zwijało i rozwijało się koło, — niby zaczarowany wąż. Na niebie kwitła srebrna róża księżyca i raz po raz roniła płatki na rozmarzone głowy.

Pan Młody w wiecznych binoklach na nosie, ubrany w kierezję, wysoki i cienki — pawim czubem zamiatał po niebie, jakby mu już na ziemi miejsca brakło i gwiazdy mu zawadzały. Panna Młoda wiła się, jak salamandra w ogniu, cała niebieska i pąsowa, w złote hafty wyszyta, szumiąca jak muszla odświętnemi spódnicami. Migały w krakowiaku jej małe nogi w czerwonych butach, tak śmigłe i lekkie, że prawie ziemi nie dotykały. Jak wielkie pawie pióro nosili w tanie dziewczynę drużbowie.

Pili za szczęście młodych starostowie.

Rytmicznie dudliła chłopska orkiestra. Przyśpiewki parobczaków niosły się daleko przez cichą noc ku Krakowu.

W chałupie chwiały się pod sufitem lepione z opłatków światy i latały za tańczącymi, jak różowe i niebieskie gwiazdy.

W drzemce, pod takt muzyki, kiwał się rząd bronowickich gospodarzy pod ścianami chałupy. Bajecznie kolorowe pary zwijały się koło nich, jak przy żniwie. Kosiarze w białych siermięgach raz po raz kosili dziewczęcy łan — żywych maków i bławatów.

Artyści, pana młodego przyjaciele, upici muzyką i wódką, słaniali się po kątach, jak

nietoperze. Jeden, taki cienki i wysoki, chwiejąc się na nogach, wyszedł na środek podwórca, przed ławę gospodarzy i wytrzeszczając oczy, oznajmił wielkim głosem archanioła, wzywającego na Sąd Ostateczny: „A teraz ja wam powiem, co to jest secesja". To rzekłszy, zwalił się pod stół. Wstrzymały się skrzypce i basy, przystanęli tańczący, czekając na powiedzenie oracji, a malarz dławił się tem jednem słowem secesja, jak kluską i nim go podniesiono na ławę — zasnął.

Więc zostawili go snom, a za secesją weschnęli, by jej wódka lekką była i znowu poszli w tany. W malowany wir.

Wyspiański oparty o ścianę, stał blady, zapięty w czarny tużurek, patrząc na wodzące się w tańcu pary niesamowitemi, błyszczącemi oczami.

Chata rosła mu w oczach do rozmiarów Ojczyzny i sięgała ścianami nieba. Na dach spadły gwiazdy — złote skowronki i on jeden słyszał ten śpiew gwiazd i śpiew róż, ukrytych w słomianych chochołach.

Chwytał uchem lot słów, jakby roju pszczół. Marzył jakby tę siwo-błękitno obieloną chatę przenieść razem z Państwem Młodych, drużbami, starostami prosto na scenę wielkiego teatru. Jak tych wszystkich roztańczonych ludzi zamknąć w krakowskiej malowanej skrzyni i na krakowskim wozie przywieźć w samo serce Krakowa na Rynek.

W tupocie nóg, w śpiewie, w dudleniu chłopskiej muzyki urodziła się koncepcja „Wesela".

A wiersze wytrysły mu z serca, jak woda ze źródła, kiedy zmęczona tańcem Jadwisia przystanęła koło niego, opierając się o ścianę. Barwą, urodą, młodością, ciągnąc ku sobie serce, oczy i ramiona.

Drobnemi rączkami cisnęła serce, bo okrutnie bolało, może z tańca, a może z miłości. I tyle było czaru w tym bezradnym, dziecinnym geście Jadwisi Rydlowej, że jak korek z butelki miodu wyskoczyła przed oczy, ta najpiękniejsza scena z „Wesela", później dopiero ubrana w słowa:

„A sen to miałam
choć nie spałam:
We złotej ogromnej karocy
napotkałam na śnie djabła:
Śniło mi się, że siedzę w karecie
i pytam się, bo mnie wiezą przez lasy
przez jakieści murowane miasta
...„A gdziez mnie biesy wieziecie?"
A oni mówią „Do Polski".
A kaz tyz ta Polska, a kaz ta?
Pon wiedzą?"
Po całym świecie
możesz szukać Polski, Panno Młoda,
i nigdzie jej nie znajdziecie.
To może i szukać szkoda?
A jest jedna mała klatka —
o, niech tak Jagusia przymknie
rękę pod pierś!
— To, zakładka gorseta, zeszyta trochę
przyciaśnie.
...A tam puka?
— I cóż za nato nauka?
Serce — ! — ?
A to Polska właśnie.

Na takie dictum panna młoda nie upadła, jak malarz, co to chciał świadczyć o secesji przed ławą bronowickich gospodarzy, ale uspokojona, że to Polska tak w sercu kołacze, a nie żadna choroba, porwała w taniec pana Wyspiańskiego, by w tym tańcu miał bliżej przy swojem sercu, bijące pod pąsowym gorsetem serce krakowskiej dziewczyny, w którem odnalazł Ojczyznę.

UŚMIECHY FORTUNY

Od lat tysięcy, niewątpliwie od czasu swego istnienia na ziemi, tęsknił człowiek, ujarzmiony pracą, za antytezą tej pracy: za zabawą. Szukał jej od wczesnego swego dzieciństwa, nie gardził nią i u zmierzchu swego życia. Zabawa — może czasem w tajemnicy przed człowiekiem — nie była zawsze bezcelową; i ona czasem mieściła w sobie pewną treść; ćwiczyła w człowieku umiejętności i krzesała uczucia, które w zaniedbaniu pozostawiała praca. Wszak już prymitywna, dziecinna zabawa w piłkę spełnia także swój cel: ćwiczy zręczność, ćwiczy oko i mięśnie. Znakomitą gimnastyką umysłu jest wszelkie rozwiązywanie zagadek. Zabawa lalką wyrabia przyszłe uczucia macierzyńkie, zabawa w żołnierzy kuje w głębi duszy chłopca zarodki przyszłego męstwa.

Tak ma się też rzecz z rozmaitemi grami: w kości, szachy, domino, karty itd., itd. Ćwiczą przytomność umysłu, wyrabiają dar orjentacji i dar szybkiego kombinowania.

Ale zczasem wkroczył w gry inny czynnik: chęć zysku. Zwolna opanował on całą istotę gry i zawładnął nią wszechpotężnie. Gra stała się z tą chwilą bardziej emocjonującą, denerwującą, czasem rozstrajającą. Bywało, że zabijała w człowieku lepsze uczucia i sidliła go niby zły demon.

Gry szczęścia odbyły swój triumfalny i zwycięski pochód poprzez wszystkie stulecia, poprzez wszystkie strefy geograficzne. Przez długie wieki dominowała nad innemi gra w kości. Znały ją ludy wschodu i ludy zachodu. Znała starożytna Grecja i starożytny Rzym. Brzęk rzucanych kości rozbrzmiewał w obozach rzymskich legjonistów, skazanych na długie leża zimowe w dalekich krajach „barbarzyńców". Kości były ulubioną rozrywką starożytnych Germanów. Uprawiali tę grę ludzie średniowiecza, zwycięsko wkroczyła ona w czasy nowożytne. Jeszcze wiek XVI, XVII a nawet i XVIII rad chwyta za kości. Łapczywym wzrokiem patrzą na czarne punkciki, wyryte na ścianach kostki zarówno oczy zacnego mieszczanina, jak i twardego rycerza. Pieszczą ładnie rzeźbione kości wąskie, delikatne palce dostojnych dam, wiodących przy tej sposobności zgrabny flirt z nadobnymi kawalerami.



Daumier: „Skończona partja domina".

Z biegiem czasu przerodziły się pierwotne kości w nową odmianę: w domino. Biedne domino! Tak bardzo jeszcze popularne i miłe naszym dziadkom i ojcom a może i nam samym w latach dzieciństwa, dziś zmiecione zostało prawie-że zupełnie z powierzchni stołów. Stało się zbyt spokojnem, zbyt „dostojnem" i zbyt mało wstrząsającem dla dzisiejszego pokolenia, nad którem zapanowały nerwy, gorączka, pośpiech, niepokój.

Ale już dawno, bardzo dawno wyłania się groźny konkurent kości i domina i ostatecznie na „ringu" gier szczęścia odnoszą walne zwycięstwo: karty. Wywodzą je jedni z Chin, inni z innych krajów dalekiego wschodu. Tych kilkadziesiąt obrazków stało się tyranami całych generacyj. Nie wyzwoliło się z pod ich demonicznego wpływu nawet pokolenie dzisiejsze. W małej wiosce, przy płomyku świecy, w ogrzanej, jasnej elektrycznością kawiarni, w zadymionej izbie szynkowej, w wytwornym klubie, w gabinecie pana domu i w buduarze pani szeleszczą karty do gry. Na dzikiej, zimnej północy, w żarze podzwrotnikowego słońca, ludzie biali, żółci i czarni wpatrują się płonącym wzrokiem w magiczne kartki. Trzymają je kurczowo twarde ręce mężczyzn i białe rączki kobiet. Wszyscy, wszyscy! Przy karcianym stole wyładowują się wszelkie uczucia, wszelkie instynkty. Szatańska gra sprawia, że ręka, która trzymała karty, nieraz tuż płotem chwyta za nóż czy sztylet, by poszukać ciepłej krwi szczęśliwszego w kartach przeciwnika.



Sztych z XVII-ego wieku, przedstawiający grę w kości.

Wyszukała sobie namiętność ludzka i inne jeszcze gry szczęścia. Wykorzystała szlachetne wyścigi koni dla stworzenia totalizatora. Wymyśliła zdradziecką ruletę, która biegiem małej, niewinnej kulki znaczy ludziom szczęście — rzadko — a przeważnie ruinę, rozpacz, tragedję i śmierć.

Totalizator, ruleta — to gry wybranych „dziesięciu tysięcy". Ludzie szerokiej ulicy znaleźli surogat w „automacie szczęścia". Wrzuca się w ciemny otwór nieliczne grosze. Porusza sprężynkę i próbuje, czy się nie uda przy jej pomocy wstrząsnąć dźwignię, wyrzucającą premję: groszy kilkadziesiąt.

Skąd ta namiętność do gier szczęścia? Może jest to wyładowanie owej pierwotnej żądzy przygód, awantur, która tkwi nawet w najbardziej zrównoważonym człowieku? Może jest to ten wielki urok, który rodzi zawsze nastrój oczekiwania, nastrój nadziei? Może jest to wreszcie owo żywiołowo drzemiące w człowieku zamiłowanie do wszelkiego hazardu; nietylko tego w grze, ale i w życiu?

Allan.

Dr. B. OGIJEWICZ

Ze świata owadów



Na wszystkie rzeczy i zjawiska otaczającego nas świata przywykliśmy patrzeć ze swego, ludzkiego punktu widzenia i zupełnie nie zdajemy sobie sprawy, że inne żywe istoty też mają swój własny „punkt widzenia" i od tych samych zjawisk odbierają zupełnie różne od naszych wrażenia. Wyobrażamy sobie również, że wszystkie zwierzęta mają podobny, jak my rozkład organów zmysłowych na swem ciele. Oczywiście, u zwierząt kręgowych szczególnie u ssaków, organa zmysłowe rozmieszczone są podobnie, jak u człowieka. Budowa organów zmysłowych ssaków też jest b. zbliżona do budowy odpowiednich organów ludzkich, lecz każdy gatunek zwierząt za ich pomocą odbiera wrażenia inaczej, bo w innem natężeniu.

Porównajmy dla przykładu „punkt widzenia" na świat człowieka i psa. U człowieka najdoskonalszym organem zmysłowym jest organ wzroku — oko. Człowiek każdą rzecz przedewszystkiem ogląda. Inne zmysły grają dla człowieka już mniejszą rolę. Odbija się to i w mowie ludzkiej, mówimy: „do zobaczenia się", o kwestjach zupełnie oderwanych powiadamy: „mam na tę kwestję inny pogląd, rozpatruję ją z innego punktu widzenia" i t. p. Natomiast zmysł węchu u człowieka, a szczególnie u ras ludzi cywilizowanych jest znacznie mniej doskonałym. A jak przedstawiają się te sprawy u psa? Prawda, że zmysł wzroku psa nie ustępuje wzrokowi człowieka, ale jego zmysł węchu jest o wiele doskonalszy. Każdą nowonapotkaną rzecz pies przedewszystkiem obwąchuje, a nie ogląda, jak to czyni człowiek. Człowiek cywilizowany poprostu nie jest wstanie wyobrazić sobie zdolności węchowych psa, który potrafi wywąchać ślady swego pana na drodze, po której przeszły setki innych ludzi. Specjalnie tresowane psy potrafią wynaleźć wśród setek podobnych przedmiot, który przez chwilę trzymał człowiek przez rękawiczkę, o ile przedtem dano psu powąchać rękę tego człowieka.

A jak potrafimy uzmysłowić sobie węch owadów, które zlatują się na rozkładającą się padlinę lub kupkę nawozu, wyczuwając jej obecność w promieniu kilku kilometrów? Albo inny przykład: Wśród błonkówek jest grupa gąsieniczników (Ichneumonidae), składające swe jaja w ciele larw innych owadów, w których larwy gąsieniczników żyją pasorzytniczo. Otóż larwy niektórych gąsieniczników pasorzytują wewnątrz larw owadów, żyjących w drzewie. Samica gąsienicznika za pomocą węchu odszukuje larwę, znajdującą się w drzewie, przez dziurki lub szczelinki wprowadza swe długie pokładełko, którem nieomylnie trafia larwę i składa w jej ciele jajeczko. Trudno sobie wyobrazić, jak gąsienicznik za pomocą węchu potrafi odnaleźć larwę głęboko w drzewie!

Powiedzieliśmy, że zmysł wzroku jest najlepiej rozwiniętym wśród innych zmysłów człowieka. Nie należy jednak sądzić, że człowiek posiada najlepszy wzrok wśród istot żywych. Są zwierzęta, których oczy pod pewnymi względami przewyższają znacznie oko ludzkie. Wystarczy przytoczyć tu chociażby ptaki drapieżne, które latając wysoko ponad ziemią rozróżniają na jej powierzchni bardzo drobne zwierzęta, np. mysz; dalej kot, który ma zdolność rozszerzania otworu źrenicy swego oka w granicach znacznie większych, niż człowiek i który może używać swych oczu w ciemnościach, gdzie człowiek już nic nie widzi.

Zwierzęta niższe przeważnie nie rozróżniają kształtów przedmiotów, a widzą tylko ich ruch. Jeśli w ciepły letni dzień usiądziemy w lesie na miejscu oświetlonem słońcem i pozostaniemy przez pewien czas bez ruchu, to na nas najspokojniej usiądą obok siebie mucha i ważka. Żadna z tych istot nie podejrzewa w tym momencie tak bliskiego sąsiedztwa drugiej. A przecież właśnie muchy stanowią najpospolitszą zdobycz ważki, tego nieubłaganego rozbójnika; tylko że ważka napastuje muchę w locie, a zupełnie nie potrafi zauważyć jej, gdy ona siedzi bez ruchu.

Jeśli chodzi o rozróżnienie kolorów, to niższe zwierzęta przeważnie wcale ich nie rozróżniają, potrafią odróżnić tylko światło od ciemności. Nieliczne owady, które widzą kolory (motyle, pszczoły), rozróżniają jednak znacznie mniejszą ich ilość, niż nasze oko. Nie wyklucza to jednak zdolności niektórych owadów do widzenia barw, których nasze oko nie dostrzega. Mucha domowa, naprzykład, odczuwa światło w ciemnej dla ludzkiego oka części nadfjołkowej widma słonecznego.

Przyjrzyjmy się teraz rozmieszczeniu organów zmysłowych u różnych zwierząt. Im zwierzęta dalej od siebie stoją w grupach systematycznych, t. j. im mniejsze jest pomiędzy niemi pokrewieństwo, tem, rzecz naturalna, większa będzie różnorodność w rozmieszczeniu organów zmysłowych.

U zwierząt kręgowych organy wzroku, słuchu, węchu i smaku skupione są na głowie. Przytoczymy tu kilka przykładów, że odpowiednie organa umieszczone bywają również gdzieindziej.

Oczy u ogromnej większości zwierząt mieszczą się na przodzie ciała. Ale np. u niektórych morskich małży znaczna ilość małych oczek mieści się na wystającym z pod muszli brzegu, t. zw. płaszczu. Oczka te mają budowę b. prostą i nie są zdolne odróżniać kształtów, natomiast wrażliwe są na zmiany w oświetleniu. Sygnalizują one zwierzęciu posuwający się cień, który pada od zbliżającego się przedmiotu, możliwego wroga i małż natychmiast chowa się do muszli i zamyka ją.

A oto drugi przykład: nasza zwykła dżdżownica nie posiada oczu, ma natomiast grzbietową powierzchnię ciała wrażliwą na światło. Więc na grzbietowej stronie jej mieści się jakby olbrzymie „oko", które nie widzi kształtów, ale ostrzega zwierzę, że znajduje się ono pod wpływem szkodliwych dla niego promieni świetlnych i daje znać, że trzeba przed nimi uciekać.

Najwięcej może dziwacznem z naszego, ludzkiego punktu widzenia wydaje się położenie organów słuchu u niektórych prostoskrzydłych: pasikoniki (Locustidae) mają te organa, o bardzo złożonej budowie, umieszczone w przedniej parze nóg; u szarańczaków (Acrididae) organa słuchu o dość prostej budowie znajdują się na bokach odwłoku. Możnaby więc powiedzieć, że pasikoniki słuchają „nogami", a szarańczaki — „brzuchem".

Organa węchu u owadów mieszczą się na ich przeważnie długich różkach. Często można obserwować u owadów o długich różkach, np. u gąsieniczników i niektórych os, jak biegając zbliżają swe różki ku przedmiotom, spotkanym na swej drodze. W ten sposób rozpoznają one rzeczy, co zupełnie przypomina postępowanie psa, który każdą rzecz obwąchuje.

Zdziwimy się też bardzo, gdy dowiemy się o umieszczeniu narządów smaku u niektórych motyli i much. Trudno nam sobie wyobrazić, aby narządy te nie były związane z otworem ustnym, bo przecież smak odczuwamy dopiero wtedy, gdy pokarm dostanie się do jamy ustnej. Tak jest u nas i u większości zwierząt, lecz nie u wszystkich. Są niektóre owady, które chętnie odżywiają się substancjami słodkiemi, a te ostatnie nie zawsze są wonne. Najważniejsze z substancyj słodkich — cukry przeważnie są pozbawione zapachu. Otóż niektóre owady posiadają narządy smakowe na stopach swych odnóży. W tem miejscu są one umieszczone np. u muchy domowej (Musca domestica). Mają też narządy smaku na stopach te gatunki motyli, które zjawiają się wczesną wiosną i często siadają na pączkach drzew, okrytych w tym czasie słodką substancją: należą tu, naprzykład, takie gatunki motyli, jak rusałka wierzbowiec (Vanessa polychloros), admirał (Pyrameis atalanta) i inne.

Udowodnić obecność narządów smakowych na stopach u wyżej wspomnianych gatunków motyli można za pomocą prostego doświadczenia, lub raczej szeregu doświadczeń. Motyla należy unieruchomić, lekko ściskając mu skrzydła za pomocą specjalnego małego ściskacza. Jeśli teraz w pobliżu motyla umieścimy kroplę roztworu cukru z dodatkiem jakiejbądź substancji wonnej, spotykanej w naturalnych nektarach kwiatów, np. kwasu jabłkowego, to motyl rozwija swą trąbkę i zaczyna ssać smaczną kroplę. Obecność kropli słodkiej substancji rozpoznał tu motyl przy pomocy swych narządów węchowych. Jeśli natomiast w pobliżu motyla pomieścimy kroplę czystego roztworu cukru, motyl nie wykazuje żadnej reakcji; widocznie roztwór cukru dla motyla, podobnie jak i dla nas, nie ma zapachu. Wystarczy jednak dotknąć stopy motyla (właśnie stopy, a nie

Dokończenie na str. 31-ej

PIERWSZE TIK-TAK...





Na lewo: Rabsztyn, powiat olkuski, województwo kieleckie.
Fot. Meysenhälter.

Na prawo: Olsztyn, powiat częstochowski, województwo kieleckie.
Fot. J. Bułhak.



HISTORJA Z LOTU PTAKA

Bogaty materjał fotograficzny w postaci licznych zdjęć, reprodukowanych przy niniejszym artykule, będzie niewątpliwie dla wielu Czytelników niespodzianką. Jakto? — aż tyle pięknych starych zamczysk znajduje się w Polsce? — Ależ tak! Posiadamy ich nawet znacznie więcej. Wybrane fotografje nie ilustrują dziesiątej części.

Jakże się zatem dzieje, iż nawet turysta, dobrze znający nasz kraj nie dotarł do owych zamków, lub choćby z fotografji nie poznał ich majestatu piękna? Dlaczego sława siedlisk Raubritterów rozsiadłych nad Dunajem, zamków Renu i Loary jest większą aniżeli naszych polskich baszt w Olsztynie, Radzyniu i Janowcu?

Utarte szlaki turystyczne biegną po Polsce tylko w dwóch kierunkach. Wzdłuż Karpat i Tatr, oraz na Pomorze z Wybrzeżem morskiem. Na pierwszym, górskim szlaku spotkamy starych ruin niewiele. Najpopularniejsze z nich to — Czorsztyn oraz sąsiednia Niedzica. Wędrując na Pomorze wstąpimy zaledwie do prastarego Torunia, może conajwyżej do Świecia. Mieszkańcy Krakowa znają swój malowniczy Tęczyn i Tęczynek, turyści warszawscy bliski Czersk lub Ciechanów, Wilnianie swe wyjątkowo piękne ruiny trockie. Na tem naogół kończy się program poznania historji naszego kraju.

Gdyby móc zorganizować jakiś specjalny „pociąg samolotowy", któryby bez skrępowania dróg, lotnisk i czasu przepłynął wzdłuż i wszerz Polskę od Zbaraża po Poznań, czujne oko obserwatora wynalazłoby wśród zielonych wzgórz i wysp błękitnych jezior dziesiątki malowniczo położonych zamków i baszt obronnych, żywo przemawiających do widza swą potęgą majestatem i pięknem.



Bodzentyn, powiat kielecki. Zdjęcie z samolotu. *Fot. por. Morawiec.*



Mapa powyższa orjentuje nas w rozmieszczeniu ruin zamków na ziemiach polskich.

Skorzystajmy z tego, iż reprodukowane zdjęcia są przeważnie fotografjami lotniczemi, dokonanemi w czasie lotu, i odbądźmy w wyobraźni rejd lotniczy po Polsce, pilnie wypatrując ruin starych zamczysk.

Odnajdujemy je wśród każdego z krajobrazów. Choć przeważnie budowano zamki na szczytach wzgórz, nad rzekami i jeziorami, wybierając miejsca najkorzystniejsze pod względem obronności, to jednak zauważymy ruiny zamków również i na równinach, a także wśród moczarów.

Ponad rzekami rozsiadły się malowniczo: zamki w Kole, (wojew. łódzkie), Ostrzeszowie (powiat kępiński, wojew. poznańskie), Janowcu (wojew. kieleckie) oraz w Oleksińcu (Wołyń). Na wyspach jezior lub rzek zobaczymy słynną Kruszwicę i ruiny zamku w Bobrownikach, w powiecie lipnowskim pod Warszawą. Wśród rozległych moczarzysk stoją zamki w Biesiekierach (pod Łęczycą) oraz w Krewie obok Oszmiany (wileńskie). Wśród wyżyn, dumnie, na wzgórzach panujących nad okolicą zobaczymy zamki w Krzemieńcu, na górze Królowej Bony, ruiny zamku Rabsztyn koło Olkusza, Bodzentyn i Olsztyn, obydwa w wojew. kieleckiem, Odrzykoń (powiat Krosno, wojew. Lwowskie), Zbaraż i Ostróg na Wołyniu. Wreszcie na zupełnej nizinie wyrosły zamki w Ujeździe w powiecie Opatowskim i Radzyniu pod Grudziądzem.

Gdyby polskim zamczyskom poświęcić specjalną, obszerną monografję, dojśćby można było do bardzo ciekawych i pouczających wyników. A więc przedewszystkiem historja budownictwa, stylów i architektury. Poza tem z dziejami zamków związałaby się ściśle cała niemal historja kraju, stanu rycerskiego i wojen.

Płyniemy ponad malowniczą ziemią kielecką. Góry Świętokrzyskie i całe niemal województwo kieleckie to owa ciągle jeszcze „nieodkryta" przez turystów ziemia. Znajdziemy tu najpotężniejsze bodajże stare zamczyska, a przedewszystkim imponujących rozmiarów zamek Krzyżtopór pod Ujazdem, zbudowany w roku 1644 przez Krzysztofa Ossolińskiego oraz niezwykle romantycznie wyglądające ruiny zamku w Olsztynie pod Częstochową. Malowniczości dodają tu wietrzejące skały wapienne, na których zamek został zbudowany

Historja zamku w Olsztynie sięga dwunastego wieku. Stał tu niewielki zameczek zbudowany przez niemieckiego przybysza. Do dziś jeszcze widnieje wyryta na skale nazwa zamku z owych czasów — Holstein. Pierwotną warownię rozbudował i umocnił Kazimierz Wielki. W roku 1370 otrzymuje Olsztyn w lennie Władysław książę opolski, co jednakże Władysław Jagiełło unieważnia i wciela lenno do Korony. Tu w roku 1358 umiera śmiercią głodową głośny Maćko Borkowic, wojewoda poznański. W roku 1656 oblegają zamek i niszczą Szwedzi. W XVIII-ym wieku posiadają go jeszcze Lubomirscy, a następnie od uchwały Sejmu w r. 1773 Potoccy. Za czasów swej świetności zamek ów składał się z dwóch części, górnej, właściwej twierdzy i dolnej mieszkalnej, z których każda miała oddzielny dziedziniec i obwarowanie. Dziś pozostały jedynie szczątki trzech baszt...

W niedalekim Bodzentynie ujrzymy ruiny zamku biskupiego, wzniesionego jeszcze w XIV wieku. W szesnastem stuleciu przebudował go biskup Krasiński, umieszczając



Zamek w Kole, województwo łódzkie, położony jest w przepięknej okolicy.

na futrynach okien do dziś dobrze zachowane znaki herbu Ślepowron. Ostatnim rezydentem tego zamku był bisk. Kajetan Sołtyk.

Wśród rozległych zielonych lasów, na obszernej polanie rozsiadł się zamek w Rabsztynie, pod Olkuszem. I te ruiny pamiętają wiek XIV-ty i XV-ty, kiedyto panami jego byli Toporczykowie, a następnie Spytko z Melsztyna. Mniej malownicze jednakże również imponujące rozmiarami są ruiny zamku Firlejów w Janowcu pod Kozienicami. Zbudowany w początkach XVI-go wieku przez Piotra z Dąbrowicy Firleja kasztelana wiślickiego, wsławił się swymi rozmiarami; posiadał 7 sal i 98 pokoi. Z czasem przechodził kolejno w posiadanie Lubomirskich i Piaskowskich.

Któż sądzić mógł, iż przemysłowe ziemie łódzkie również posiadają piękne zabytki w postaci starych zamczysk? Odnajdziemy tu ruiny zamków w Kole nad Wartą i Biesiekierach pod Łęczycą.

Koło było w swoim czasie znacznem ogniskiem politycznem i handlowem (wskazuje na to i nazwa — „koło", która oznczała miejsce zjazdów publicznych). Z ważniejszych odbyła się tu walna narada szlachty z królem Władysławem Jagiełłą w r. 1433, na której uchwalono wojnę z Zakonem Krzyżackim. Początek zamku sięga czasów, gdy król Kazimierz Wielki nadał wójtowi Koła Janowi Henrykowi przywilej założenia miasta na prawie magdeburskiem. Wówczas miasto otoczono murami, a poza ich obrębem, wśród mokradeł, na sztucznie usypanem wzniesieniu zbudowano obronny zamek. Zniszczyła go pożoga szwedzka.

Zamek w Biesiekierach zbudowano około roku 1500. Jednym z jego właścicieli był Andrzej Batory, synowiec króla Batorego. Z pomników dawnej architektury przechowały się tu sklepienia gotyckie w dwóch dolnych pokojach. Dwie tablice marmurowe nad główną bramą wjazdową opowiadają w języku łacińskim historję tego zamku.

Kierując się dalej na północ, wśród wstęgi wiślanej, w pobliżu Bobrownik pod Włocławkiem ujrzymy wyspę w kształcie perły. Na wyspie sterczą ostatnie kamienie słynnego ongiś zamku krzyżackiego, którym opiekował się osobiście Konrad von Junningen. Aż dotąd zatem sięgały wpływy potężnego Zakonu. Z rąk Krzyżaków wykupili zamek obywatele Ziemi Dobrzyńskiej. Zniszczyły go wojny szwedzkie. Rząd Królestwa Polskiego pozwolił rozwalający się zamek rozebrać; z gruzów jego stanęło kilka domów w Słońsku i Ciechocinku.

Ponad znaną i popularną Kruszwicą przepłyniemy do poznańskiego i na Pomorze. Ziemie te, jak świadczy reprodukowana obok mapa ruin zamków w Polsce, posiadają tych zabytków niemniej aniżeli ziemia krakowska, tarnopolska i kielecka. Zatrzymamy się nad mniej znanymi zamkami — w Ostrzesowie (pod Kępnem) i w Radzynie pod Grudziądzem.

W Ostrzeszowie ujrzymy pięknie zachowaną basztę, pozostałość zamku króla Kazimierza Wielkiego, pochodzącego z XIV-go wieku. Zamek został zniszczony również w czasie pożogi szwedzkiej w roku 1657; jak widzimy, wojny szwedzkie były grobem naszych pięknych zamczysk, z których niestety już nigdy się nie wydźwignęły.



Ruiny zamku bobrownickiego w powiecie lipnowskim, województwo warszawskie.
Zdjęcie lotnicze, fot. por. Milczewskiego.



Ujazd, powiat opatowski, województwo kieleckie.

Zupełnie odrębny charakter noszą ruiny zamku w Radzynie. Był to zamek krzyżacki, zbudowany w XVI-tym wieku, na gruzach starego zamku jeszcze dawniejszego, z którego pozostały jedynie mury zewnętrzne. Pięknie wykończone szczegóły architektoniczne zamku w Badzynie świadczą o wielkiej jego świetności i guście, z jakim został zbudowany; różni się on zatem bardzo od innych zamków krzyżackich znajdujących się na naszych ziemiach. Zamek należał jakiś czas do komtura radzyńskiego, zaś po bitwie grunwaldzkiej oblegany był przez rycerstwo polskie. Zamek bronił się bardzo dzielnie i padł wreszcie 21 września 1410, zdobyty przez wojska osobiście dowodzone przez króla.

Trudno opisywać choćby w krótkich zdaniach historję wszystkich zamków, którym poświęcono niniejszy faljeton. Pragnę jednak zwrócić jszcz uwagę Czytelnika na na kilka punków, a mianowice:

Zamek w Krewie pod Oszmianą, gdzie 14 sierpnia 1385 dokonano unji Polski z Litwą; zniszczony w latach 1502—1506 przez Tatarów.

Zamek Krzemieniecki wzniesiony przez w. księcia Witolda, przebudowany w XVI w. przez królowę Bonę.

Jeden z późniejszych zamków, pałac Rzyszczewskich w Oleksińcu Starym, zniszczony dopiero przez Wielką Wojną. Zamek ten zbudowano w wieku XIX.

Piękny zamek w Ostrogu, pod Zdołbunowem, z którego zachowała się doskonałe potężna baszta. Zamek wsławił się znaną tragedją Halszki z Ostroga, a zniszczony został przez Kozaków w r. 1648.

Zamek w Zbarażu, wzniesiony przez architekta holenderskiego Henryka van Poene, będący twierdzą niezdobytą jak na ówczesne czasy.

Wreszcie niesamowicie wprost wyglądające ruiny zamku odrzykońskiego pod Krosnem w woj. lwowskiem. Jest to ten zamek, który posłużył Sewerynowi Goszczyńskiemu za tło do napisania poematu „Król Zamczyska". Istotnie poszczerbione przez czas i kule ruiny budzą grozę i nastrajają do snucia fantastycznych opowieści.

Stare zamczyska — to długie, nieopowiedziane historje — ciekawe, zawsze inne, nieoczekiwane. Pełne romantyzmu, bohaterstwa, zapatrzone w swą świetną przeszłość.

Mgr. Roman Burzyński.



Gopło z Mysią Wieżą w Kruszwicy, powiat mogileński, województwo poznańskie. *Fot. por. Milczewski.*



Radzyń, powiat grudziądzki, województwo pomorskie.
Zdjęcie lotnicze fot. por. Milczewski.

MORZE * ŚPIEWA * SWĄ * PIEŚŃ * POŻEGNALNĄ...



Ostatni wyjazd na morze...
Fot. dr. P. Wolff.

Poniżej:
Jutro już rozjadą się w różne strony... może na drugi rok spotkają się znowu na brzegu szumiącego morza...
Fot. dr. P. Wolff.







Powyżej:
W ślad za uciekającymi promieniami letniego słońca...
Fot. A. Progulski — Lwów.

Na prawo:
Na niebo wypłynął księżyc i wysrebrzył lekko pomarszczoną taflę morza... (Przystań w Orłowie).
Fot. dr. Azet — Kraków.

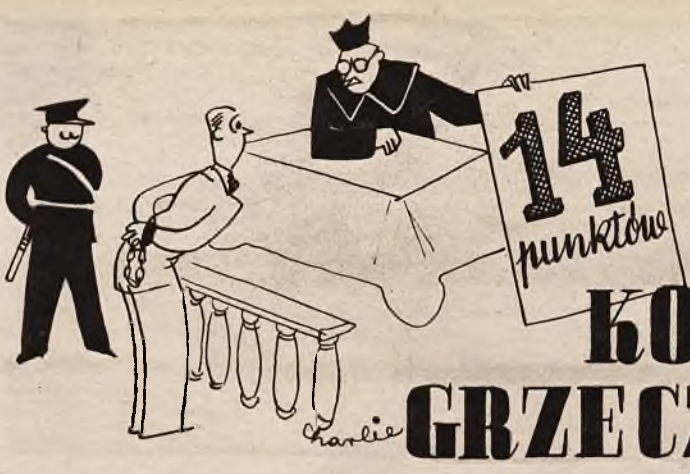




Na lewo:
Od strony Gdyni ciągnęły roje pierzastych chmur... (Plaża na Helu).
Fot. R. Burzyński — Warszawa.



Obok:
Na tej łodzi spędziła z „nim“ długie godziny...
Fot. Suppenmoser.



14 punktów KODEKSU GRZECZNOŚCI

W czasach ogólnej względności pojęć również pojęcie uprzejmości stało się nader elastyczne. Co jeden uważa za grzeczność, to dla drugiego nie jest jeszcze wystarczające, a dla trzeciego zupełnie niewłaściwe. Uprzejmość pochłania dużo czasu, a czas to przecież pieniądz! Między dawnemi a dzisiejszemi czasami zachodzą nietylko różnice widoczne na zegarze, ale również w stopniu uprzejmości. Widok mężczyzny bez marynarki i kamizelki — o ile to nie jest własny mąż — budzi przestrach każdej pani w Europie. W Ameryce natomiast w tym stroju pokazuje się mężczyzna pracujący, a robota jest przecież nietylko środkiem, ale też celem egzystencji i jej słodyczą. Dlatego też mężczyzna w tym stroju budzi zainteresowanie kobiet, wykazując swoją użyteczność społeczną. Również siedzenie w pokoju z nakrytą głową, mogłoby u nas zrazić nawet Julję do Romea, ale inaczej jest w Ameryce. Tam łatwo się nawet ośmieszyć, zdejmując zbyt często kapelusz. Również w Europie istnieją „długości geograficzne“ uprzejmości. Tam, gdzie uprzejmość istnieje w dużej mierze, np. w Hiszpanji, nie należy jej rozumieć dosłownie. Hiszpan jest uprzejmy i nieraz poznawszy co dopiero obcego człowieka w tramwaju, gotów jest on zaprowadzić cię do miejsca przeznaczenia, mimo, iż przerywa sobie w ten sposób przedsięwziętą przez siebie sprawę. Zarówno w Hiszpanji, jak we wszystkich południowych krajach, ludzie rozporządzają większą ilością czasu. Gdy jednak tenże sam uprzejmy Hiszpan ofiarowuje ci w tramwaju swoją kurę, należy uprzejmie podziękować i nie nadużywać jego uprzejmej gotowości, która nieraz sięga tak daleko, że chce ci zrobić prezent z brylantowego pierścionka!



...nie należy siedzieć, gdy ona stoi.

Jeżeli więc mówimy o uprzejmym mężczyźnie, to myślimy o mężczyźnie i kobiecie naszej „utemperowanej“ szerokości geograficznej. Nie jest powiedzianem, że taka kobieta nie przestaje z mężczyzną nieuprzejmym, ale w każdym razie dobrze wychowany człowiek jest jej milszy, chociażby nie miała do niego wyjątkowej sympatji. Jednego mężczyznę się kocha, innego znowu uważa się za miłego, albo czarującego. Można wprawdzie kochać się w zupełnym gburze, ale mimo to uprzejmy mężczyzna zawsze będzie mile widziany i stać się może pocieszycielem.

Jest nawet bardzo dobrze być takim pocieszycielem, albo uchodzić za niego.

Nie będziemy się zastanawiali nad ogólnie znanemi wskazówkami uprzejmości, chociaż i one wykazują, jak dalece przeciwko niej grzeszymy. Ale istnieją dotychczas sporne kwestje, których wyjaśnienie wedle poglądów niezbyt wymagającej kobiety będzie bezwzględnie pożyteczną rzeczą. Oto czternaście punktów, w które ujęliśmy nasze rozważania.

1) Nawet siedząc w aucie powinno się zdjąć w obecności kobiety kapelusz. To samo w windzie.

2) Do lokalu wchodzi się p r z e d kobietą, aby „utorować“ jej drogę.

3) Życzenia swej towarzyszki powinno się kelnerowi podać, nie czekając, aż uczyni to sama pani.

4) Jeżeli „ona“ spóźniła się na randkę, należy ją mimo to powitać z uśmiechem (i to nie ironicznym).

5) Jeżeli pani zbliża się do stolika lub wstaje od stolika, należy bezwzględnie wstać, chociażby rozłąka miała trwać kilka minut.

6) W obecności kobiety nie należy mówić o interesach.

7) Nie wypada pozostawać w pozycji leżącej, jeżeli kobieta siedzi, ani też siedzieć, gdy ona stoi.

8) Żegnając się z kobietą, należy ją pocałować, zależnie od stopnia zażyłości, — w rękę lub w usta.



Siedząc z kobietą w aucie, zdejm kapelusz.

9) Uprzejmy mężczyzna nie zapomina nigdy o małych prezentach, które wykazują jego pamięć i szarmanterję.



...nie oglądaj się za innemi kobietami!

10) Mężczyzna powinien w towarzystwie kobiety okazywać się zazdrosnym, ale nie tak dalece, aby robić awantury.

11) Nie powinno się czekać, żeby kobieta zatelefonowała, należy d z w o n i ć wpierw samemu.

12) Przyjaciółki jej należy uważać za miłe, ale nie tak miłe, jak ona sama.

13) Przyjechawszy po znajomą autem pod jej dom, nie należy otwierać drzwiczek auta i siedzieć w niem, oczekując, aż wsiądzie, ale powinno się wysiąść już w chwili, kiedy się ona ukaże w bramie.

14) W towarzystwie kobiety nie należy się obracać za innemi, nawet w sposób bardzo dyskretny.

Stosując te wszystkie punkty, możemy być pewni, że zdobędziemy uznanie kobiet dla naszej uprzejmości i że nagrodzą nas pięknym uśmiechem.

Wiktor Wittner.



Na lewo: ...spóźniającej się pani nie witaj z ironicznym uśmiechem.

POLOWANIE Z SOKOŁAMI



Sokół był w przeszłości wiernym towarzyszem myśliwych.

Polowanie z sokołami!... Już same te słowa mają w sobie jakiś starodawny, romantyczny urok, a polowanie takie w tempie dzisiejszego, nerwowego życia wygląda na coś nieprawdopodobnego, niemal na bajkę! Budzi wspomnienia starych, w dzieciństwie widzianych obrazów, na których dumne kasztelanki w średniowiecznych strojach, siedząc na koniu, trzymają sokoła na ręce, wspomnienia polowań królewskich, wspomnienia czasów pełnych poezji...

I oto na Węgrzech, w kraju, gdzie każdy rodzaj łowiectwa uprawiają wszystkie warstwy społeczeństwa od niepamiętnych czasów, powrócono obecnie z zapałem i do polowań z sokołami z wielkiem powodzeniem.

Polowanie z sokołami, podobnie jak i z chartami bierze początek na dalekim wschodzie, na bezkresnych równinach, które nadają się do przebiegania ich konno. Namiętni zwolennicy tego szlachetnego sportu powołują się na to, że już w Piśmie św. mówi się o polowaniu z sokołami; mianowicie prorocy Starego Testamentu wspominają o łowach „z przyuczonem ptactwem", a Machabeusz dumny jest z powodzenia, jakie odnosi na tych polowaniach. Homer opiewa dumnego sokoła, a i u Arystotelesa i Pliniusza czytamy o nich wzmianki.

Według starych dokumentów, Europa poznała polowanie na sokoły w XII wieku; rozpowszechniło się ono odrazu ogromnie. Król francuski, Ludwik XIII, uważany był za specjalnego miłośnika tego rodzaju łowów. Ale chyba największym zwolennikiem ich był sułtan Mohamed Amurad, który, według starych kronik, posiadał przeszło 7 tysięcy sokołów na swe usługi! We Francji w średniowieczu polowanie z sokołami cieszyło się niejednokrotnie specjalnymi przywilejami; i tak naprzykład wiemy, że francuskim baronom wolno było zabierać z sobą na Mszę św. oswojone sokoły. W Niemczech największy rozkwit łowów z sokołami przypada na czas panowania Fryderyka Barbarossy i jego najbliższych następców. Książęta pisywali wówczas grube traktaty o sztuce takiego polowania.

W Rosji jeszcze wiek XVIII był złotym okresem dla łowów z sokołami. Sprawozdanie z r. 1754 podaje jako rzecz niezwykłą, że rosyjski okręt zawiózł do Kopenhagi 17 białych sokołów, gdyż takie śnieżnobiałe ptaki były rzadkością i uchodziły za bardzo cenne.

Kiedy w czasie wędrówek ludów, Węgrzy przybyli z za Wołgi w IX stuleciu do swej dzisiejszej ojczyzny, przynieśli z sobą zwyczaj polowania z sokołami. Wszyscy węgierscy królowie byli namiętnymi zwolennikami tych polowań, a królowa Beatrice, urodzona księżniczka włoska, żona króla Macieja Korwina zwierza się, że trzy sokoły, jakie otrzymała w darze z Siedmiogrodu, zalicza do najmilszych prezentów.

Jeszcze przed wojną węgierscy arystokraci oddawali się z zapałem łowom z sokołami. — Książę Zoard Odeschalchi pierwszy począł układać krajowe sokoły, które okazały się równie dobre, jak sprowadzane poprzednio z Anglji. Jeszcze w r. 1901 sprowadził z Anglji 8 ułożonych sokołów wraz z sokolnikiem, wkrótce jednakże zastąpiono je sokołami z lasów węgierskich. Wiele sokołów wędrownych bowiem buduje tam swoje gniazda; wylęgnięte następnie młode zabiera się i układa do polowania. Najgorętszymi zwolennikami tych polowań byli hrabiowie Paweł Szapáry, Franciszek Esterházy i Siegfried Pappenheim. Wojna położyła kres temu szlachetnemu sportowi, jednakże od paru lat już czynione były wysiłki, aby wskrzesić go nanowo. Sprowadzono zagraniczne sokoły a indyjski sokolnik z dóbr koronnych z Gödöllö układał je do polowania. Ale i obecnie chodzi przedewszystkiem o używanie sokołów krajowych.

Węgry ogromnie nadają się do polowań z sokołami. — W wielkich majątkach, których tam nie brak, jest wszędzie poddostatkiem zwierzyny; są też doskonałe tereny dla konnej jazdy. Bo wprawdzie próbowano polować z sokołami pieszo, ale okazało się, że nie osiąga się wtedy takich rezultatów, jak przy polowaniu konno. Podobnie, jak przy polowaniu par force, trzeba nieustannie mieć na oku sokoła, aby być we właściwym czasie przy nim, kiedy jak błyskawica spada na zdobycz.

Wskrzeszenie polowania z sokołami jest pewnego rodzaju oznaką, że wielu ludzi w obecnych czasach wzmożonego tempa tęskni do natury i oderwania się od życia nerwowego. Jest coś fascynującego w śledzeniu ruchów tego ptaka, w uchwyceniu momentu, kiedy rozpoczyna walkę... Wielu zaś sprawia poprostu przyjemność jazda przez bezkresną równinę z pięknym ptakiem na ręce, niejednokrotnie większą, niż z szybkostrzałowym karabinem...

Stella Olgierd.



Również kobiety z upodobaniem brały udział w polowaniach z sokołem.

MIGLANC

SZKIC ZYGMUNTA JORDANA

Znajomość moja z Miglancem trwała dobrych kilka lat i — rzecz dziwna—przeszła w krótkim czasie w zażyłą przyjaźń, pomimo, że spotykaliśmy się zrazu dość rzadko, a Miglanc nie znosił obcych ludzi. Widocznie znalazł we mnie jakieś dodatnie cechy, których inni nie posiadali. Toteż poznałem jego charakter bliżej, może nawet lepiej, niż niejeden z domowników. I mogę śmiało powiedzieć, że Miglanc nie był osobnikiem pospolitym.

Mieszkał stale we dworze w Z., sąsiadującym z majątkiem mego ojca. Przez dzień bytował w kuchni, pod stołem, śledząc bacznie i ze znawstwem ruchy kucharki. W nocy „pracował w terenie"; czasem — jak Pan Bóg przykazał — na podwórzu folwarcznem, częściej jednak w polach, wśród zajęcy, na które miał wielki apetyt, nigdy ponoś nie zaspokojony...

Żadnem wyższem pochodzeniem pochwalić się nie mógł. Nieduży, chuderlawy, trochę płaski, jakby wycięty z deszczułki, strój miał czarny z kilkoma nieforemnemi, białemi łatkami, jedno oko wybite za młodu przez tych ludzi, a drugie, patrzące trwożliwie dokoła, jakby każdej chwili miał spaść jakiś niespodziewany cios. Do ludzi — jak już mówiłem — nie miał zaufania. Każdy naglejszy ruch najbliższego nawet domownika, wprawiał go w przerażenie. Kulił ogon pod siebie i... w nogi! Choćby to było w chwili najczulszych pieszczot, jakiemi darzyli go często jego państwo, chcąc, aby przecież choć do swoich nabrał przekonania. Lękliwość brała zawsze górę.

Ogromnie lubiał się witać. Kiedy ktoś z domowników wyszedł rano przed dom, zjawiał się zaraz Miglanc, „podjeżdżał" ku niemu kunsztownym kurcgalopkiem, wywijając owacyjnie ogonem, ale w miarę, jak się zbliżał, odwaga opuszczała go, ogon kulił pod siebie, kurczył się uniżenie, aż przerażony własną śmiałością, rozpłaszczał się na ziemi, śląc jedynem okiem błagalne spojrzenia w górę.

Wtedy trzeba było podejść powoli, przemawiając czule, a cicho do niego i ostrożnie, aby go nie spłoszyć, położyć mu rękę na głowie i głaskać. Wprawiało to Miglanca w zachwyt. Przewracał się nawznak, piszczał i skowyczał z radości, a potem zrywał się i tym samym kurcgalopkiem zataczał kilka nieprzytomnych kół, ale już teraz z ogonem, skulonym pod siebie, bo „pan" był blisko i zawiele ruchu mogłoby go zniecierpliwić.

Po takiem udanem przywitaniu, przez resztę dnia Miglanc był w doskonałym humorze i nawet asystował państwu razem z wyżłem i jamnikami, co w innych warunkach było nie do pomyślenia.

Bo Miglanc był zwykłym kundelkiem i czuł się kundelkiem i niczem więcej. Brakowało mu stanowczo jakiejkolwiek ambicji. Ta jego natura ściągała na niego często dłuższą niełaskę domowników. Miglanc naprzykład lubiał szczekać. Wszędzie i na wszystkich. Nie odróżniał gości od włóczęgów, nic go nie obchodziło, że państwo witali się z kimś serdecznie, że tamte, „lepsze" psy dawno zamilkły i łaszą się koło gościa. On szczekał dalej zawzięcie, ujadał, obskakiwał, aż wyprowadzał wszystkich z równowagi i musiał uchodzić przed gniewem chlebodawców.

Przytem Miglanc miał jedną wadę. Solidny szanujący się pies nie szczeka po publicznych drogach. Bo i poco...?! Jedzie wóz drogą — no to niech sobie jedzie zdrowo! Przecież to nie złodziej wybrał się na kradzież wozem, w biały dzień... Tego Miglanc w żaden sposób nie mógł pojąć. Zachowywał się, jak zwyczajny, chłopski kundel; każdy wóz, jadący drogą obok folwarku, musiał być przez niego dokładnie, a jazgotliwie obszczekany i odprowadzony aż poza granice dworskiego obejścia.

To także niecierpliwiło wszystkich i ściągało gromy, a nieraz i kamień na głowę biednego służbisty.

Możliwe, że w takich okolicznościach postradał oko, ale nie wyleczyło go to z brzydkiej nawyczki.

Dalszą wadą Miglanca było, że największemi względami darzył kucharkę i kuchnię. Do pokoju nie byłby wszedł za żadną cenę, zato w kuchni przesiadywał godzinami i asystował kucharce tak w domu, jak i na podwórzu, a nawet w wyprawach do pobliskiego miasteczka.

Cały męski rodzaj w domu przezywał go za to pogardliwie babskim psem i wogóle „kuchniakiem".

Ta komitywa, wynikła zresztą z przyczyn kulinarnych, była powodem ciężkiego przejścia w życiu Miglanca, które omal, że nie skończyło się tragicznie.

Jamniki — jak jamniki, obydwa przesiadywały stale w pokojach, trzymały się państwa i mało ich Miglanc obchodził. Za to wyżeł Trop i wilczur Lord miały stałe pretensje do Miglanca, że pod ich nieobecność wyjada najlepsze kąski. Patrzały na niego krzywo i czuło się, że kiedyś z tej strony przyjdzie zły dzień dla Miglanca.

Pewnego razu Miglanc naraził się przed domem Lordowi. Zanadto przyglądał się, jak tamten beznadziejnie porał się z olbrzymią kością. Może zrobił przytem jakiś nieodpowiedni grymas, czy coś takiego powiedział, dość, że Lord poniechał naraz kość i warcząc groźnie, pognał za nim dokoła domu. Miglanc uciekał wprost do kuchni, ale to był właśnie zły dzień i w drzwiach kuchennych stanął w ostatniej chwili Trop.

Miglanc zwinął się, cofnął i wpadł prosto w zęby nadbiegającego wilczura. Trop, ujrzawszy, że kundel został przytrzymany i teraz będzie się można policzyć z nim za wszystkie kulinarne nadużycia, dołączył się do egzekucji i naraz głowa Miglanca zniknęła poprostu w jego olbrzymiej paszczy...

Było z biedakiem bardzo krucho. Rozżarte psy ciągnęły każdy ku sobie, aż delikwent zawisnął w powietrzu, wyciągnięty, jak struna i tylko słabe skomlenie rozlegało się z głębin wyżlej paszczy... Zaalarmowana tumultem służąca bezskutecznie próbowała rozdzielić psy, aż dopiero ktoś nadbiegł na pomoc i wylał na całe kłębowisko wiadro z wodą. To poskutkowało; psy odskoczyły, puściwszy na ziemię coś, co słabo przypominało boskie stworzenie. Był to zmięty strzępek, były Miglanc, obdarty, pokrwawiony, że aż żal było patrzeć... Podniosło się to z trudem i powlokło do kuchni.

Długo chorował Miglanc po tem przejściu, a po wyzdrowieniu był jeszcze lękliwszy, niż przedtem i kucharki trzymał się już bezapelacyjnie. Tylko nocami włóczył się, jak dawniej, polując bezskutecznie na zające.

Raz jeszcze znalazł się Miglanc w niecodziennych okolicznościach i wtedy nabrałem szacunku dla jego zmysłu organizacyjnego. A było to tak.

Koło dworu w Z. rozsiadło się małe osiedle, kilkanaście chałup liczące; o pół kilometra dalej leży wieś.

Było to wiosną. We wsi, jak zwykle o tej porze, znalazła się jakaś suczka, żądna wrażeń, więc zewsząd schodziły się psy, a każdy był przekonany, że tylko on jeden zdoła tę jej ciekawość zaspokoić. Chodził i Miglanc, ale że psina była niepozorna, więc rywale sprawili mu pewnego poranku taką łaźnię, że ledwo dowlókł się do domu. Dwa dni leżał się pod kuchennym piecem i rozmyślał, trzeciego dnia wstał i wywlókł się na dwór.

Przed domem leżał Lord, grzejąc się w wiosennem słońcu. Miglanc przysiadł się do niego i w najlepszej komitywie spędzili parę godzin. Po południu wszystkie psy baraszkowały przed domem, a Miglanc, wyleczony z ran, dokazywał z niemi. Potem pokładły się na gazonie. Miglanc leżał obok Lorda i iskał go uprzejmie z pcheł, zapomniawszy wszelkich uraz.

Czwartego dnia leżał całe rano w kuchni, pod piecem, po obiedzie jednak wstał, przeciągnął się i wybiegł przed dom.

Tego właśnie popołudnia, idąc na słonki do lasu, wstąpiłem do Z. z moim wyżłem, Flottem, a że na ciąg wieczorny było jeszcze wcześnie, wyszliśmy w kilka osób na folwark, a z nami cała domowa psiarnia. Rozmawiając, doszliśmy na skraj podwórza, do płotu, skąd widać było całe osiedle i wieś. W pewnej chwili zauważyłem, że mój Flott zniknął, jak kamfora. Reszta psów też się gdzieś podziała...

Zaintrygowany, rozejrzałem się za niemi i naraz ujrzałem na drodze do osiedla oryginalną kawalkadę.

Przodem szedł Miglanc, a za nim, jak żołnierze za dowódcą, wszystkie dworskie psy i mój Flott.

Zaczęliśmy wołać, ale towarzystwo ani się obejrzało; najwyraźniej psy udawały, że nie słyszą. Miglanc tylko przyspieszył kroku, a reszta pociągnęła za nim. Oddział przemaszerował między domami osiedla i wyszedł po drugiej stronie, wzmocniony poważną partją chłopskich kundli. Zebrało się tego kilkanaście; postały chwilę koło stodół, jakby się naradzały, poczem ruszyły przez pola, prosto, jak strzelił do wsi. Miglanc znowu prowadził. Wołanie, ani gwizdanie nie pomagało; znać było, że psy mają do załatwienia jakąś ważną sprawę.

Za chwilę zanurzyły się pomiędzy domami. Staliśmy jeszcze przy płocie, nie mogąc zrozumieć, co znaczy to dziwne zachowanie się posłusznych zwykle psów, gdy naraz od wsi doszła nas dzika wrzawa, typowy odgłos psiej bójki. Słychać było jazgot kundli, basowy głos wyżłów, wreszcie krzyki ludzkie, skomlenie i chóralne wycie. Wrzawa przenosiła się w coraz to inną stronę wsi, aż wkońcu umilkła.

A po chwili towarzystwo ukazało się z powrotem.

Jeden z pierwszych sunął Miglanc kurcgalopkiem, wywijając ogonem. Ku chałupom osiedla sadziła cała zgraja przeróżnych kundli i kundelków, a na końcu, kłapiąc uszami, dwa jamniki, Klops i Ferdynand, toczyły się i przewracały na skibach, jak dwie żółte kulki. Pierwsze, przypadły do nas wyżły, łasząc się i patrząc w oczy, jakby prosiły o przebaczenia.

Za chwilę znalazły się przy nogach oba jamniki, radosne, nie zważając na besztanie, ale z pociętemi uszami.

Tylko Miglanc poszedł gdzieś okólną drogą do kuchni, gdzie leżał cały wieczór pod stołem, rozpamiętując zwycięstwo. A było zwycięstwo walne. Chłopi opowiadali później, że wiejskie psy dostały niebywałe cięgi. Kuchniak wziął swoją nawiązkę.

Niestety była to ostatnia sprawa Miglanca. W dwa tygodnie potem przepadł, jak kamień w wodzie...

Szukano go, pytano wszędzie, ale wszystko naprożno! Może mógłby o tem coś powiedzieć sąsiedzki gajowy, który dawno już zapowiadał, że jeżeli zdybie jeszcze raz Miglanca w polu, to nie pożałuje mu śrutu...



PRACA LUDZI GÓR...

Fot. Albert Rastl (Schostal).

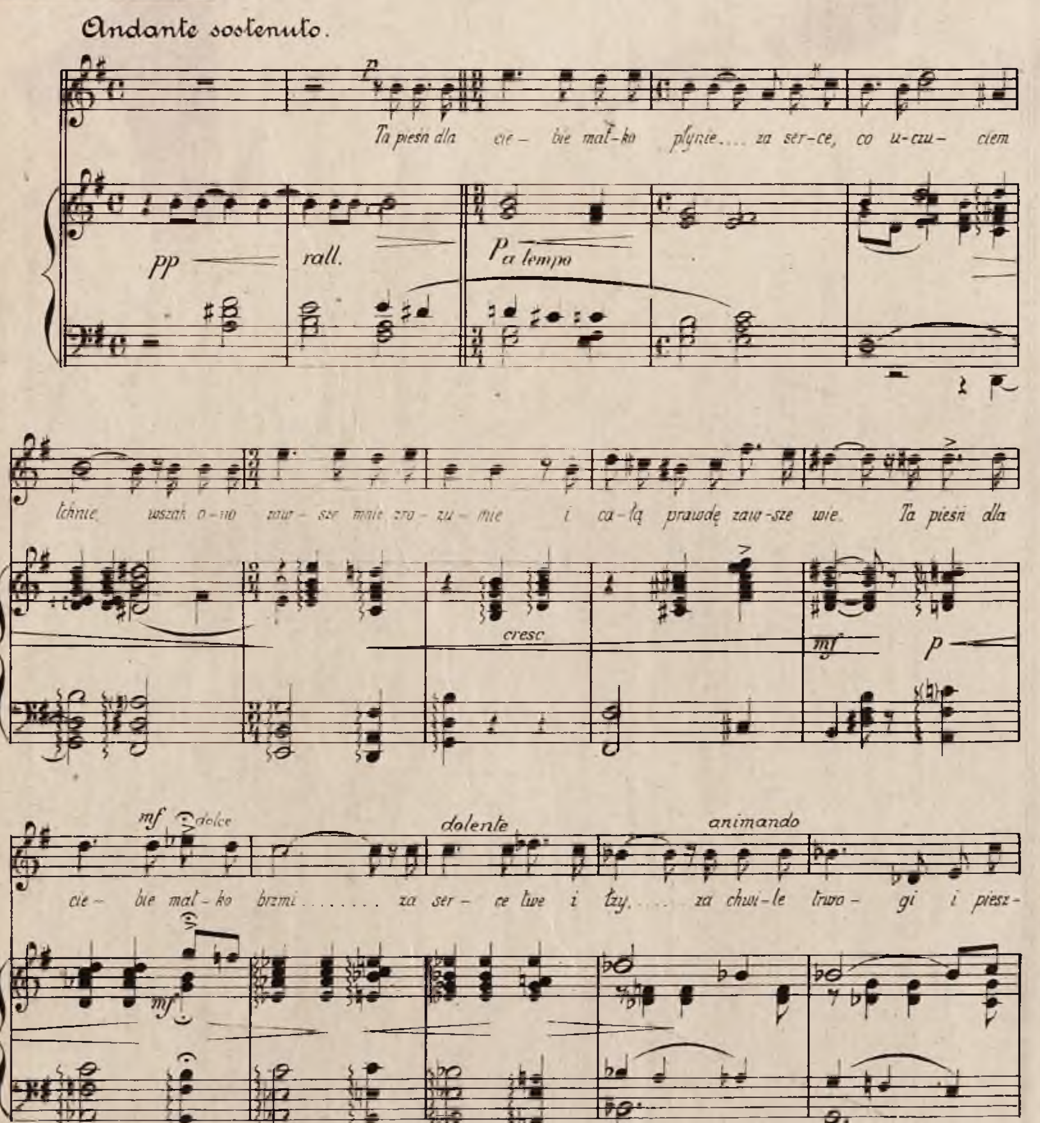


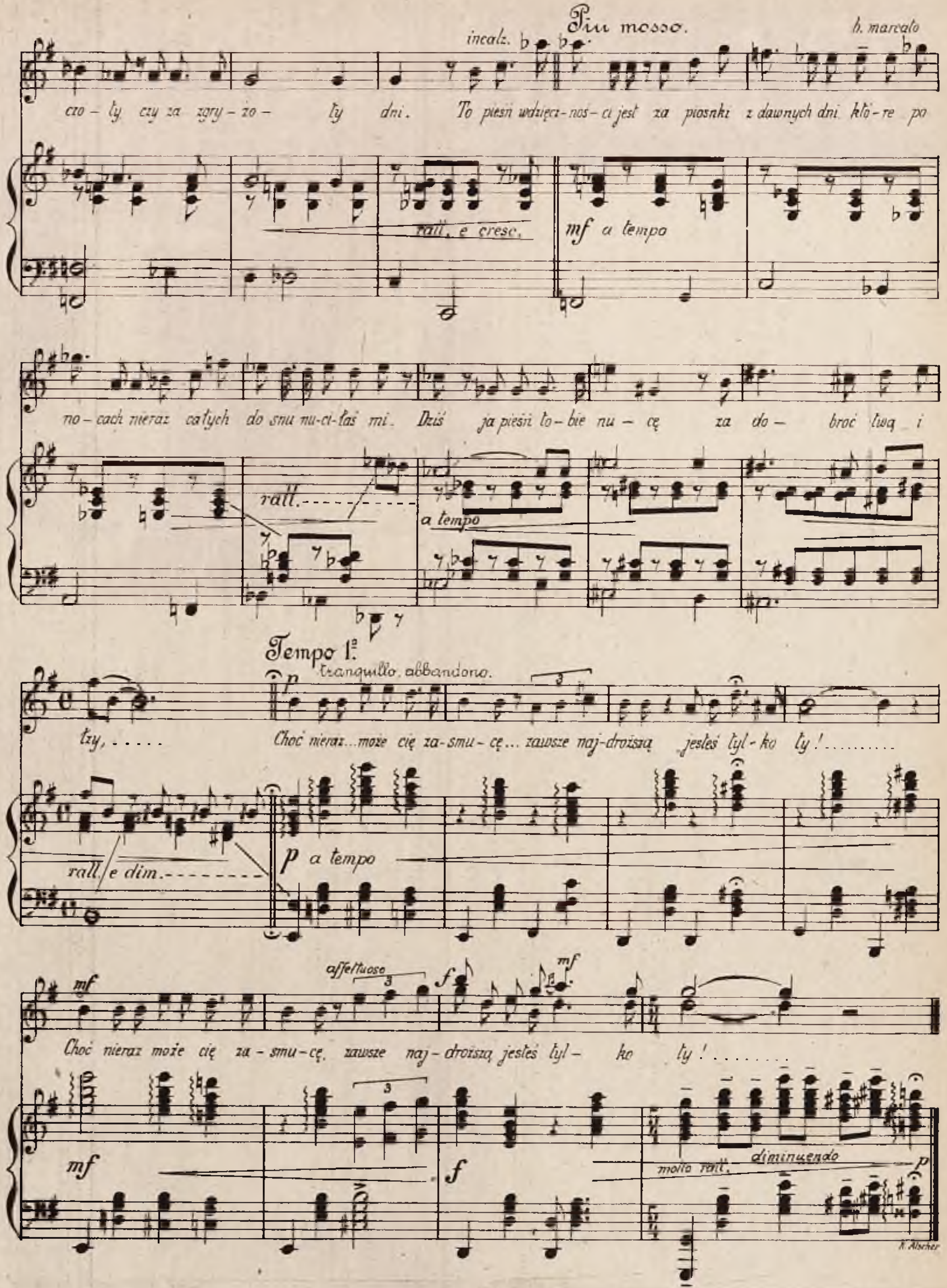
Z TEKI MUZYCZNEJ „ASA"

PIEŚŃ DLA MATKI

Słowa:
Danuta Derin-Kadulska

Muzyka:
Adam Lenczowski





podróż



NOWELA

ANTONINA TEODOROWICZ

Bonsoir mes filles!

— Bonsoir Mademoiselle! — Odpowiedziało trzydzieści świeżych, dziewczęcych głosików, a płowe i ciemne główki przylgnęły do bieli poduszek. Panna Marja zdmuchnęła światło i pozostał tylko mały, żarzący się jak węgielek w ciemności, ogienek oliwnej lampki. Panna Marja przesunęła się cicho pomiędzy równiutkiemi szeregami łóżek. Bystrem, wszystko widzącem spojrzeniem obrzucała, przechodząc, każdą pościel postać dziewczęcą. Czy ręce są na kołdrze? Czy leży na prawym boku? Czy niema wciśniętej twarzy w poduszkę?

W swoim pokoiku tuż przy sypialni dziewcząt, zaświeciła niedużą, niską lampę z nadtłuczonym kloszem. W starym klasztorze nie było elektryczności. Chwiejny płomyk to przygasał, to strzelał w górę jasnym językiem, czerniąc szkiełko lampy. Za oknami hulał pierwszy wiosenny wiatr, rozszalały, rozkiełznany, młody i wdzierał się przez szpary między framugami okien, świszcząc swawolnie i dziko. Panna Marja skręciła knot lampy, podeszła do okna, wyjrzała. Na jasnem tle rozświetlonego księżycem nieba szalały rozhuśtane gałęzie wielkich rosnących od wieków w klasztornym ogrodzie, drzew. Przechylały się to w tę, to w tamtą stronę trzeszczące, szumiące, rozchybotane szeroko. Jakby pijane tym wiatrem, tą nocą blado-niebieską, posrebrzoną księżycem po wierzchu, pachnącą coraz bliższą wiosną. Było w tem rozkołysaniu drzew, w tym szumie i świszczącej piosence wiatru coś przejmującego nawskroś swem młodem szaleństwem, wdzierającego się przemocą na dno duszy, co chciało rozkołysać serce, jak tamte drzewa, jak te gałęzie jeszcze bez liści, nagie, a już napęczniałe sokami, brzemienne, radosne...

Panna Marja odsunęła się od okna prawie niechętnie. Coś się z nią dzisiaj działo niedobrego. Może dlatego, że to ostatni wieczór, i że jutro... Już jutro! Czy to naprawdę możliwe? Osiemnaście lat nauczycielstwa w tem prowincjonalnem miasteczku, w tym cichym, otoczonym grubemi murami klasztorze. Osiemnaście lat, co rano, ubrana w takie same zawsze, ciemne, zapięte pod szyję suknie, wchodziła do wielkiej sypialni obok i dzwoniąc miedzianym dzwoneczkiem wołała niezmiennie:

— Wstawać dziewczynki! Wstawać!

Trzydzieści zaróżowionych, rozespanych twarzyczek podnosiło się. Trzydzieści usteczek ziewało przeciągle i mówiło zaspanemi głosami:

— Bonjour Mademoiselle!

— Bonjour mes petites! — odpowiadała im panna Marja.

A teraz — już jutro, inne życie. Tak strasznie niespodzianie przyszła ta wiadomość o śmierci stryja Jakóba i o jego hojnym zapisie na rzecz „bratanicy mojej, Marji". Mieszkanie w Warszawie, majątek gdzieś ukryty w poleskich bagnach... I oto ona, Marja, wyjeżdża jutro rano oglądać te cuda. To, chwilowo, więcej przeraża ją, niż cieszy. Czuje się nieporadna, nieprzygotowana do życia w tym świecie, o którym siostra przełożona wspomina zwykle, że „zgnilizną pachnie i nieobyczajnością". Panna Marja leżąc już w swem wąskiem, żelaznem łóżku, czuje nieomal już teraz ten zapach jakiś dziwny, drażniący...

Świat i życie w nim przedstawia się jej dziwnie niejasno i niewyraźnie. Niema rodziny, niema przyjaciół. Osiemnaście lat spędziła tutaj, za temi murami. Jakże teraz wydawać się jej będzie to dalekie, nieznane życie?

Huczący za oknami wiatr wnosi ze sobą rozterkę i jakiś dziwny, nieokreślony niepokój. Co będzie? Co będzie?...

Po raz pierwszy od wielu, wielu lat rozkwita w mózgu zapomniana już, myśl: gdybym była wyszła zamąż?

I zaraz otrząsa się z tego. Mąż, małżeństwo... nie, to nie dla niej! Mężczyzna przedstawia się jej jako dziwny, niezrozumiały stwór, napełniający ją strachem i skrępowaniem. Och, nie!

I panna Marja zasypia czując, że serce jej kolebie się w takt rozkołysanych gałęzi napęczniałych wiosną szeroko, szeroko, niespokojnie.

— — — — — — — —

Nazajutrz do rannego pośpiesznego pociągu, idącego w stronę Warszawy, wsiadła szczupła, ciemno i po staroświecku ubrana stara panna, zaciskając kurczowo niedużą odrapaną walizkę. Panna Marja byłaby jechała trzecią klasą, ale siostra przełożona doradziła jej drugą. Ma przecież teraz pieniądze i może sobie pozwolić na wygodną podróż. Więc zajmuje miejsce w pustym przedziale, gdzie leży tylko na ławce jakieś francuskie pismo. Wszystko wydaje się jej nierealne, dziwne, jakby to nie ona, lecz ktoś obcy, ubrany w długi, podróżny płaszcz usiadł tutaj w przedziale i patrzał przez okno na różnobarwny, roześmiany słonecznym dniem, świat. Przechodząc przez korytarz wzrok jej padł mimowoli na lustro. Zobaczyła pod rondem niemodnego kapelusza (wyrudział trochę w tym kufrze) owalną, blado różową twarz, gładką jeszcze i prawie bez zmarszczek, zachowaną spokojem i ciszą klasztornego życia. Paliły się w niej olbrzymie zdumione oczy dziecka, któremu ktoś nagle pokazał zadziwiającą niespodziankę. Były niebieskie, płochliwe, jak oczy młodej dziewczyny, rozszerzone zdumieniem. A na dość dużych, ale różowych wargach, drżał wątły, niepewny i jakby strwożony uśmiech.

— Wsia-a-adać!!

Trzask jakichś drzwi. Raz, dwa, raz, dwa, zaczynają się toczyć koła nierówno podskakując na zwrotnicach. Panna Marja żegna się szerokim znakiem krzyża i zdejmuje kapelusz. Jej gdzieniegdzie już siwe, ale jeszcze ładne i puszyste włosy, błyszczą w słońcu, które zalewa nagle przedział i razi jej oczy ostrym, oślepiającym blaskiem. Jest to blask tak silny, że panna Marja nie widzi, jak drzwi się otwierają i ktoś wchodzi. Wzdrygnęła się przerażona na dźwięk miłego, męskiego głosu, który spytał grzecznie:

— Przepraszam panią, pani pozwoli, że będę tutaj palił?

Podniosła oślepione oczy. Tuż obok, dotykając jej prawie, stał wysoki, elegancki pan i uśmiechał się bardzo uprzejmie. Jego bronzowe, prześwietlone słońcem oczy, o łagodnym, trochę jakby ironicznym wyrazie przebiegły jej postać prędko i tak, jakby chwytały i notowały w pamięci każdy szczegółik. A potem zatrzymały się na jej zdumionych, prawie przerażonych oczach i rozbłysły jeszcze wyraźniejszym uśmiechem.

— Najmocniej panią przepraszam! Zdaje się pani być niezbyt zadowoloną z mego towarzystwa. Ale naprawdę postaram się pani nie przeszkadzać! Czy mogę palić?

— Ależ... proszę... — starała się opanować panna Marja. Cóż za dzieciństwo, dostawać na dźwięk czyjegoś głosu bicia serca i rumieńców! Zachowujesz się jak warjatka! — zgromiła się ze wściekłością i nagle ogarnęła ją taka złość na siebie, na niego, na słońce i całe życie, że zebrała fałdy sukni, wcisnęła się w kąt i burknęła prawie niegrzecznie:

— Niechże pan siada i pali! Nastąpił mi pan na suknię...

— Ach, rzeczywiście! Najmocniej przepraszam. Pani pozwoli, że ją oczyszczę — zabrudziłem... — i nim zdążyła zaprotestować z oburzeniem, pan szybkim ruchem schylił się i chusteczką otrzepał zakurzoną suknię. I nagle panna Marja poczuła, jak jakiś dziwny, nieznany a miły prąd przemknął przez całe jej ciało od miejsca, gdzie jego ręka delikatnie doknęła jej kolana przy wstrząsie pociągu. Prąd ten, niby gorąca, drażniąca fala, przemknął wzdłuż ciała, zadrżał w biodrach i przylgnął do nabrzmiałych nagle piersi. Cofnęła się gwałtownie, a pan wyprostował się zadowolony i spokojnie uprzejmy. Zajął miejsce naprzeciwko. Nic już nie mówiąc, zabrał się do czytania swego dziennika, nie oczekując z jej strony ani podziękowania, ani rozmowy. Tak, jakby nagle przestała istnieć, zapadła się gdzieś, rozpłynęła w tym jasnym blasku słonecznym.

Mogła teraz obserwować jego twarz. Robiła to ukradkiem, nawet przed samą sobą. Obejmowała oczami tę nerwową, suchą twarz o ciepłych oczach i wąskim, zgrabnym nosie. Małe, czarne wąsy ocieniały trochę czerwone, zmysłowe usta, z za których w uśmiechu błyskały zżółkłe od palenia, ale równe zęby. Panna Marja wodziła ciekawemi spojrzeniami po tej nieznanej twarzy, jakby dotykała jej oczami i wyczuwała tym dotykiem każdy jej rys, zmarszczki koło oczu i ust, wyżłobione życiem. Mimowoli złapała się na tem, że nic ją już prócz tego obcego przecież człowieka nie obchodzi. Ani podróż, ani nowe, rozpoczynające się życie... nic. Do pustki dotychczasowego życia, a może raczej — letargu, wdarł się nagle doknięciem gorącej ręki i spojrzeniem bronzowych oczu, mężczyzna. Ostry, drażniący niepokój wypełnił nagle jej ciało i wybił się rumieńcami na policzkach, światłem w bladych dotąd oczach. Wszedł nieproszony, niepowołany, jakby wchodził w swój własny, oczekujący go dom. Kim był? Co robił? I — jakim był?

Łapała się na coraz uporczywszych myślach związanych z nim, zalewających ją przemożną falą. I już nie próbowała się nawet bronić. Mówiła sobie jeszcze wprawdzie pocichu: jesteś stara, głupia warjatka! — ale to już było tylko tak, pro forma, dla zabicia głosu tego „czegoś", co przez osiemnaście lat stało na straży jej myśli i uczuć. Wędrowała po jego twarzy i postaci uważnemi, zachłannemi oczami, spoczęła na jego ustach, z których wykwitał długi, lśniący w słońcu papieros.

— Czy słodko całuje... — nagle zagryzła ze złością wargi. — Cóż za głupstwa! — zgromiła się ostro i równocześnie przylgnęła oczami do tych męskich, pulsujących krwią warg. Jakby odczuł to intensywne spojrze-

nic. podniósł nagle na nią oczy, że nie zdążyła odwrócić swoich. Drgnęła, spłoszona, niespokojnie nakryła oczy rzęsami, zła na siebie i zmieszana niepomiernie. A on, jakby nawiązując dopieroco przerwaną rozmowę, odezwał się swym miłym głosem:

— Czy pani daleko jedzie?

— Do Waszawy.

— To doskonale! I ja też. Cieszy mnie, że mam tak sympatyczną towarzyszkę podróży.

— Dziwna rzecz — podróż. Jedzie człowiek w zamkniętym przedziale we dwoje z obcym nieznanym człowiekiem, nic ich nic łączy... a jednak są związani wspólnie przez szereg godzin mocno i ściśle. Czy zastanawiała się pani kiedy nad tem, że właściwie całe nasze życie jest taką podróżą w wagonie trzeciej, drugiej lub uprzywilejowanej, pierwszej klasy. I że zdążamy bezwolnie niesieni, do tego celu, który zdaje się nam być jasny, a przecież nigdy nie wiadomo co się stać może w podróży...

Urwał na chwilę i pochyliwszy się naprzód, patrząc wprost na nią, na jej twarz, wkoło oczu pokrytą. delikatną siecią zmarszczek, na jej włosy lśniące w słońcu siwemi pasmami, dokończył ciszej, jakby wypowiadał słowa niezmiernej wagi:

— Że w takim pociągu, przed końcem podróży może się zdarzyć katastrowa, i przygoda, i dramat, farsa, lub... spotkanie dwojga ludzi od wieków dla siebie przeznaczonych? Jej oczy uciekające przed nim i niepewne, stały się jeszcze większe od tych słów, a może od tego pochylenia ku niej? Źrenice jego nabrały znów pełno ironicznych błysków śmiechu. Bawił się. Ach, bawił się doskonale tą śmiesznie ubraną starą panną, o twarzy różowej i oczach dziecka. I skąd się takie jeszcze biorą? Przysiągłbym na jej cnotę! — uśmiechnął się w myśli. Taksował wprawnemi oczami jej postać pod wytartą suknią. Ręce białe i dość ładne, szczupłe, wąskie biodra i pełne, lecz o ładnym kształcie piersi ściśnięte czarną suknią. Krągłe, jakby dziewczęce ramiona i smukła szyja z ledwo widocznemi rysami lat. Wiek? Trzydzieści, trzydzieści dwa, najwyżej. Ale przytem te oczy dziwnie dziecinne, niebieskie i bezbronne, wydające, że są nim zajęte, tak bardzo zajęte...

— Śmieszna kobietka! — pomyślał beztrosko i uśmiechnął się do niej. Odpowiedziała takim radosnym uśmiechem, że chwyciło go to za serce. Czuł miłą, męską dumę, że wywarł tak wielkie wrażenie. Wprawdzie suknia, i to uczesanie z przed potopu... ale jeszcze wcale, wcale...

I wtedy w znudzeniu długą podróżą przyszło mu na myśl, żeby się zabawić tą śmieszną kobietką, z takim spłoszonym zachwytem wpatrzoną w niego. Ot, przygoda! Nigdy jej już więcej nie zobaczę. Niech i ona ma raz przyjemność... — pomyślał trochę cynicznie. Przybrał rozkoszny wyraz twarzy i wstał nagle.

— Ponieważ jesteśmy właśnie złączeni taką podróżą, pozwoli pani, że się jej przedstawię. Barski jestem. Andrzej Barski.

— Marja...

— Chwileczkę — przerwał jej łagodnie. Niech pani nie mówi, błagam! Jest pani dla mnie Marją, Marją... — powtórzył miękko, aż zatrzepotała rzęsami. — To wystarczy. Gdy będziemy wysiadali, da mi pani swój bilet z wypisanym adresem, dobrze? Czy mogę o to prosić pokornie?

— Ależ, proszę... — powiedziała z wysiłkiem. Jeszcze wciąż nie mogła przyjść do siebie, wciąż była małą, zachwyconą i wystraszoną dziewczynką. Coś ją pchało przemożnie ku temu człowiekowi, a równocześnie jakiś daleki, nieufny strach krępował jej słowa. Był przecież miły i ujrzejmy... a jednak chwilami jakiś błysk jego oczu, uśmiech czy ruch rąk, mówiły wyraźnie: uwaga!

Ale już coraz więcej nabierała zaufania i spokoju. Usiadł naprzeciw i zasłoniwszy okno przed zbyt natarczywym słońcem, opowiadał swobodnie i lekko. A ona słuchała z przechyloną wtył głową, przywarła oczami do jego warg i chłonęła nie tyle słowa, ile ten miły, męski głos, mówiący tylko i wyłączne dla niej. To było cudowne, nieznane uczucie, że ktoś zajmuje się nią, wypytuje, troszczy się o nią... Jakże miły i bliski i znany od lat chyba, był dla niej! Czyż to możliwe, że jeszcze dwie godziny temu nie znała go zupełnie? Chwilami, gdy milkł, rzucała mu jakieś słówko-zachętę, byle mówił dalej jeszcze do niej! Gdzieś niewyraźnie kołatało się jej po głowie, że to śmieszne... że ona, stara, zaniedbana... że on śmieje się może z niej... Ale myśli te błyskały daleko, jak błędne i ginęły przy oślepiającym blasku tego nawału uczuć i szczęścia, które zalewało ją całą i nie pozwalało się zastanawiać i rozumować.

— Tak — doszedł ją jego miły głos. — Ja wciąż mówię i mówię, a pani nic. Niechże mi pani coś opowie o sobie! Jak pani żyje, co pani robiła...

Uśmiechnęła się łagodnie. Opowiedziałaby mu wszystko! Ale cóż było do opowiedzenia? Jak opowiedzieć tyle, tyle lat, wypełnionych dniami, co jak niezmącone, monotonnie spadające krople wody umykały wdal niespostrzeżenie, nieodwołalnie? — Żal mi tych wszystkich dni. — Powiedziała głośno, napozór bez związku. I zaraz zapragnęła powiedzieć mu wszystko, wszystko!

— Tak mi strasznie żal, że nie żyłam prawie wcale! Dziś, widzę, jaki piękny może być świat i życie i jaka szkoda marnować każdej chwili.... dziś, gdy już jest zapóźno.

— Nigdy nie jest zapóźno! — powiedział banalnie, ale naprawdę żal mu się zrobiło, w jej głosie była szczerość i prostota. A ona, jakby zapamiętując się w tem zwierzaniu najskrytszych myśli, ciągnęła dalej prędko:

— Nie, nie, to już nie dla mnie! Młodość jest tylko jedna i nie wraca. A ja osiemnaście lat przesiedziałam w zimnym, ponurym klasztorze, ucząc dzieci, rozmawiając o pogodzie, Bogu i kwiatach. O dziesiątej spać. c szóstej rano wstawałam... i tak dzień w dzień, osiemnaście lat! Z początku może rwałam się, żeby uciec, wyjść, ale potem? Nie wiem... byłam zawsze bierna, uległa i słaba... dziś wiem, jakie to było złe. Umilkła. Było coś tak zrezygnowanego i smutnego w wyrazie złożonych na kolanach rąk, że przemknęło po nim znów uczucie litości. Biedactwo! — pomyślał ciepło i powiedział:

— Jest pani zabardzo bierna. Tak nie można. Dziś, nie jest zapóźno. Wchodzi pani w nowe życie. Nie jest pani młodziutka, to i lepiej. Jest pani zato mądrzejsza. silniejsza... to nowe życie może być szczęściem pani, wynagrodzeniem tego co było, a raczej tego, czego nie było dotychczas. Czyż pani sama nie widzi, że to jest jej druga młodość?

— Druga młodość!? — powtórzyła jakoś niepewnie — tak, ale...

— Ale cóż? Ileż pani ma lat? Trzydzieści? Coś koło tego? — (Nie zaprzeczyła. Nie miała siły). — A więc najpiękniejszy wiek kobiety! I co tu mówić „zapóźno"! Nigdy! Jedzie pani do Warszawy, życie ogarnie panią, przeobrazi...

— Boję się życia.

— Widzę to. To źle. Życia nie należy się bać. Życie należy mocno trzymać, jak kapryśną kobietę. Wtedy jest dobrze.

— Czy pan... tak właśnie robi?

— Ja? Och, staram się. Najważniejsze nie tracić czasu. Każda minuta jest bezcenna. Każdą okazję przyjemności należy chwytać i wykorzystywać. Brać, brać, brać od życia wszystko co możliwe!

W zapale pochylił się do niej tak blisko, że czuła na twarzy jego gorący, palący oddech. Nie cofnęła się, tylko oczy rozjaśniły się jej i przymknęły się ostrożnie. Patrząc zbliska w tę niedawno nieznaną twarz, stanowiącą dla niej teraz wszystko, powiedziała jakoś sennie, nieswoim głosem młodej, zakochanej dziewczyny:

— A dawać? Dawać ze siebie... wszystko? Wszystko!?

Zmieszał się jakoś i odsunął. Cóż u licha! Ten rozmarzony, ciepły ton jej głosu przeniknął go do głębi, wzruszył, a jednocześnie rozgniewał. Rozkleiła sę baba! — pomyślał gniewnie i brutalnie. Mimowoli spojrzał na zegarek. Dojeżdżali, chwała Bogu! Jeszczeby się przyczepiła do niego... a takie, to najgorsze. Jeszcze w tym stroju!! Ależby się z niego śmiali! Dreszcz nim wstrząsnął na samą myśl. Nie przeczył — coś w niej było, co chwytało za serce. Może ta prostota i jakby to powiedzieć... ta jakaś dziwna bezbronność, coś z dziecka i młodziutkiej dziewczyny, przemawiało do serca z całej postaci tej starej już przecież kobiety, tak fatalnie ubranej. Ale żeby miał z nią dłużej przebywać tę podróż... Boże, zachowaj mnie od tego! — pomyślał żarliwei i wcisnął się w kąt przedziału.

A panna Marja nie zastanawiała się już nad niczem. To był dla niej jakiś wielki, nipojęty cud, to spotkanie na progu nowego życia, ten mężczyzna wytworny i piękny, mówiący jej słowa miłe i kuszące dziwnie, aż serce się tłukło mocno w skrępowanych suknią piersiach i tylko miała ochotę przycisnąć je ręką, żeby uie zauważył, nie widział....

To było szczęście i cud. Boże, jakże jesteś dobry! — szeptała dziękczynnie w myślach, wpatrując się w swego towarzysza, jak w tęczę. Oto ledwo wchodzę w nowe życie, spotykam Jego. Tego, który jest dla mnie przeznaczony. On — jest dobry, to widać z jego bronzowych, ciepłych oczu. Wprawdzie grają w nich czasem dziwne ogniki, których panna Marja nie rozumie i boi się, ale cóż... tak jeszcze przecież mało go zna! W Warszawie poznają się lepiej! Będą wciąż razem, ciągle, cągle! Ach, jakże cudownie przedstawiały się jej te dni przyszłe, najpiękniejsze. Przemknęła oczami przez migające za oknem pola, wyzłocone nadchodzącą wiosną, radosne... i czuła ją w sobie, tę drugą młodość, o której jej mówił przed chwilą.

Zwróciła na niego znów swe niebieskie, ufne teraz oczy, pełne blasku i powiedziała uśmiechnięta:

— A teraz napiszę panu mój adres. Tak, jak pan chciał.

Pochyliła się nad biletem, niezdarnie wypisując litery w skaczącym pociągu. Patrzył na jej pochyloną, osrebrzoną głowę, na jej ręce ładne, lecz pokryte już siecią drobniutkich zmarszczek...

— Proszę, jest. Niezbyt wyraźnie, ale... Niech pan schowa.

Zacisnął w dłoni kartonik. Siedzieli teraz naprzeciwko siebie i milczeli. Za oknami poczęły wyskakiwać przedmieścia Warszawy. Dzięki Bogu! — pomyślał z ulgą. Czuł się jakoś dziwnie niepewnie. Te oczy, wpatrzone w niego, z nieprzytomnym, a tak szalenie szczęśliwym wyrazem, te usta, napewno nigdy nie całowane przez mężczyznę, cała ta szczupła, a taka jakaś bezsilna postać, napełniała go dziwnem uczuciem. Uczucie to, coś jakby. wstyd, czy niepokój, krępowało go i denerwowało niepomiernie. Miał ochotę rzucić coś brutalnego tym rozświetlonym spojrzeniem, zdusić ten radosny uśmiech i tę ufność twarzy. A równocześnie czuł się, jak człowiek, co spotyka małą, o niebieskich oczach dziewczynkę i ma szaloną ochotę pogłaskać ją po jasnych włosach. Ale to uczucie ustępowało stopniowo miejsca zdenerwowaniu i skrępowaniu.

I czego tak patrzy na niego, jakbv bvł bogiem?!

Dokończenie na str. 26



PORANNA GIMNASTYKA

Z POMOCĄ KTÓREJ MOŻEMY USUNĄĆ BŁĘDY BUDOWY NASZEGO CIAŁA.

Ćwiczenie XV.



Ćwiczenie I.



Ćwiczenie II.

Ćwiczenie 1. Stajemy swobodnie na nogach, kolana lekko ugięte, górna część tułowia pochylona ku przodowi. Podnosimy prawą nogę, równocześnie lewe ramię wyprężamy w tył. Szybko zmieniamy pozę, unosząc lewą nogę, poruszając wahadłowo w przód lewe ramię, prawe wysuwając naprzód. Ćwiczenie to należy wykonać zupełnie lekko.

Ćwiczenie 2. Stajemy w tej samej pozie co w ćwiczeniu 1. Wyrzucamy silnie ramiona ku przodowi, następnie sprężystym ruchem wahadłowym ku tyłowi. Równocześnie uginamy za każdym ruchem kolana, wzmacniając uginanie się aż do sprzężystego kołysania się na całej nodze. Kończymy to ćwiczenie po odpowiednio silnem rozkołysaniu całego ciała skokiem w górę, nie zaprzestajemy jednak wahadłowego ruchu ramion. Zwolna stają się poruszenia coraz mniej sprężyste, wreszcie stajemy mocno i pewnie na nogach. Ćwiczenie to wymaga conajmniej 30 seryj ruchów. Następnie stajemy swobodnie przy otwartem oknie, wciągając głęboko powietrze przez nos i wypuszczając je ustami.

Nietylko natężanie muskułów w celu ich wzmocnienia prowadzi do celu, wytyczonego przez kilka dotychczasowych przepisów gimnastycznych. Dzisiaj podajemy opis gimnastyki wahadłowej, mającej na celu uelastycznienie stawów i mięśni.

Dokończenie ze str. 24-tej

Wprawdzie godzinę temu sam energicznie zabrał się do wywołania tego właśnie wyrazu w jej oczach, ale teraz stało mu się to męczącem. Zbyt wielkie było uwielbienie i prawda w jej spojrzeniu. Nie miał wcale zamiaru narzucić sobie starego babska na głowę, teraz, gdy napewno Lilusia oczekiwać go będzie na stacji, roześmiana purpurowemi od pomadki wargami, których smak i drżenie znał tak dobrze! Przez chwilę zatracił się w przypominaniu sobie różnych rozkosznych szczegółów postaci Lilusi, gdy wyrwał go z tego miłego nastroju głos panny Marji:

— Zdaje się, że dojeżdżamy. Jaka szkoda! Prawda? Tak się miło jechało!

— Istotnie... potwierdził niezbyt pewnie.

— Jakże wdzięczna panu jestem za tę rozmowę, za to wyrwanie mnie ze zwykłej monotonji i szarzyzny życia! Moje nowe życie nie może już być zmarnowanę — Patrzyła na niego promiennemi oczami rozkochanej dziewczyny i mówiła dziwnie radosnym, dźwięczącym szczęściem głosem:

— Teraz nie boję się życia. Wiem, że potrafię brać, brać... i... dawać... bo i dawać ze siebie wszystko, jest szczęściem. Czy i pan nie czuje tego teraz?

To „teraz" brzmiało taką radością i pogodą, że omal nie zerwał się i nie zaklął wściekle. Czuł, że się dusi ze zdenerwowania. Co ona sobie myśli, do djabła? Że się w niej zakochał, że będzie wciąż z nią, że...

— Pan może teraz zmienił zdanie — mówiła, a głos jej był ufny i słodki. — Ja wiem, poznałam, pan ma piękną szlachetną duszę, która...

— Wybaczy pani! — zerwał się gwałtownie, nie mogąc już dłużej wytrzymać. Byłby chętnie parsknął jej w twarz wściekłością i śmiechem. Blady ze zdenerwowania, mówił prędko: — Dojeżdżamy, już zaraz dworzec. Pozwoli pani, że ją pożegnam, dziękując za miłe towarzystwo.

Wyciągnął rękę. Wolno, ostrożnie, jakby dotykała największego skarbu, wsunęła swą dłoń. Była gorąca, drżąca, ale uścisk jej był szczery i ufny. Wstała. O wiele niższa od niego, patrzyła z dołu wprost w jego oczy lazurowemi zupełnie źrenicami. Była w nich jakaś wielka, nabożna cisza, spokój i szczęście. Pomimo złości i zdenerwowania, poczuł zalewającą go znów falę tkliwej czułości, a równocześnie pomyślał ostro i szczerze: Świnia jestem, psiakrew!

Stali blisko obok siebie. Pociąg zataczał się na zwrotnicach, hamował gwałtownie. Nagły taki wstrząs rzucił ich o siebie, zetknął razem ciała, zwarł nogi. Przez sekundę, łapiąc równowagę, zacisnął mimowoli ramiona wokół jej ciemnej, szczupłej postaci i ujrzał tuż przy sobie świetliste, przymknięte sennie oczy z dyskretną siecią skośnych zmarszczek i usta duże, o łagodnym wykroju, rozchylone uśmiechem. Nie zastanawiał się, co robi. Pochylił się nagle i przywarł przez mgnienie oka wargami do tych ciepłych, pulsujących nieświadomionem pragnieniem ust. Poddały się uległe, miękko...

Odepchnął ją prawie od siebie. Chwycił kapelusz, walizkę i wypadł z przedziału, jak ścigany, rzucając już z korytarza wzburzonym głosem:

— Żegnam panią!

— Dowidzenia! — powiedziała. To było szczęście. Cud. Stała tak długo pochylona do przodu, jakby objęta jeszcze jego ramieniem. Czuła się taka szczęśliwa, taka ogromnie szczęśliwa!!

Odwróciła się do okna. I nagle wszystka krew zbiegła jej do serca, zatrzymała chyba na wieczność jego bicie.

Tam, wśród tłumu, wyśledziła spojrzeniem jego postać. Pochylony, roześmiany szczęśliwie, cały wpatrzony, zachwycony i pożądliwy, obejmował najczulej młodą, elegancką kobietę i chciwie na powitanie całował jej oczy i usta, jeszcze i jeszcze.. aż odepchnęła go ze śmiechem od siebie, wskazując na ludzi wokoło. A potem, trzymając się pod rękę, przywarci mocno do siebie, zginęli w tłumie, roześmiani.

Panna Marja stoi i patrzy. Ale nic widzi nic przez jakąś dziwną mgłę, co nagle przesłania jej oczy. I nie czuje nic.

Bo zwykle zbyt wielki ból daje z początku uczucie znieczulenia...

Więc panna Marja porusza wargami i mówi ledwo dosłyszalnie coś, co brzmi, jak... „jest tylko jedna młodość" — ale może to nawet nie są słowa?

Potem wzrok jej pada na stoliczek pod oknem i nawet nie dziwi się, że leży na nim jej staromodny bilet wizytowy, z nazwiskiem i adresem.. To już nie boli.

Bierze swą odrapaną walizkę. Wychodzi wolno wprost w objęcia huczącej życiem Warszawy, z walizką w jednej ręce, drugą zgarniając fałdy za długiej sukni, za którą oglądali się mali chłopcy z urwisowskiemi minami. Nie widzi tego. Nie widzi nic.

Wokoło oczu ma nagle tysiące ostro zarysowanych bruzd, a każda dodaje jej jeden rok życia. Niebieskie oczy są dziwnie wyblakłe, jak spłowiały na zbyt wielkiem słońcu bławatek. Idzie wolno, nieznana nikomu, przez nikogo nie oczekiwana, samotna, stara panna.

Życie towarzyskie i artystyczne

GWIAZDY ZMIENIAJĄ SWE KONSTELACJE...







Prasa amerykańska, a za nią francuska doniosła ostatnio, że słynna gwiazda filmowa Greta Garbo zamierza poślubić znakomitego dyrygenta polskiego, Leopolda Stokowskiego, długoletniego kierownika filadelfijskiej Filharmonji, który ostatnio poświęcił się pracy w filmie i przebywa w Hollywood. Na zdjęciach od lewej: Greta Garbo i Leopold Stokowski.

Jedna z najgłośniejszych i najoryginalniejszych aktorek filmowych Katarzyna Hepburn, wychodzi zamąż za amerykańskiego przemysłowca filmowego Howarda Hughesa.

Z TEATRU BYDGOSKIEGO: „JAPOŃSKI ROWER"

„Japoński rower" komedja T. S. Chrzanowskiego była łabędzim śpiewem znacznej części zespołu, który wnet rozjedzie się po całej Polsce, by talentami swemi zasilić inne sceny. Tak więc pożegnać się wypada przedewszystkiem z reżyserem p. Jerzym Szyndlerem i podziękować nie tylko za doskonałe zmontowanie „Roweru" ale i za dwuletnią, jakże twórczą i artystycznie wydajną pracę w teatrze bydgoskim. Artystę „uprowadził" teatr lwowski, powierzając mu stanowisko głównego reżysera.

Do Lwowa odchodzi również p. Irena Paszkowska. Wielce utalentowana i urodziwa ta artystka zasłużyła na niemniej szczerą podziękę za moc niezatartych wrażeń, jakich grą swą zawsze żarliwą, czujną i bezpośrednią teatromanom bydgoskim przysporzyła. I w roli Krystyny czarowała swą ekspresyjną grą. Do Wilna przenoszą się: młodziutka i bardzo zdolna Michalina Michalska (pełna swobody i lekkości Alina) inteligentny aktor Zbigniew Koczanowicz (pyszny jako tetryk Teofil) oraz rozbrajający jowialnością w roli wuja Klemensa, Roman Jaglarz.

Publiczność bawiła się wybornie na premjerze „Roweru". Po drugim akcie zgotowano obecnemu w teatrze autorowi serdeczną owację.



Na zdjęciu obok: Pp. M. Michalska (na lewo) i I. Paszkowska w jednej ze scen „Japońskiego roweru".

TANIEC



Jadwiga Dracówna, jedna z najwybitniejszych uczenic warszawskiej szkoły baletowej Janiny Mieczyńskiej — w efektownym skoku tanecznym.

EUGENJUSZ SOLARSKI JEDZIE DO LWOWA...

W ogródku SIM'a spotykamy Eugenjusza Solarskiego. Przy czarnej kawie prowadzimy krótką pogawędkę. Najaktualniejszym tematem dzisiejszych rozmów aktorsko-dziennikarskich jest nowy sezon i kwestja engagement. Na usta więc samo się ciśnie pytanie:

— Jak się u pana zapowiada nowy sezon?

— Jadę do Lwowa, zaangażował mnie dyr. Warnecki na pół sezonu, potem zamierzam wrócić do Warszawy do T. K. K. T. i dalej próbować szczęścia.

— A bilans pobytu w stolicy?

Wzruszenie ramion — oto cała odpowiedź. Rozmawiamy dalej. Solarski jest bardzo zawiedziony. Przyjechał przed dwoma laty do stolicy z Krakowa pełen zapału i szczerej chęci do pracy a wyjeżdża niemal rozczarowany. Zagrał raz Figara i na tem się skończyło. Nie dawano mu ról. Dlaczego? nie umie odpowiedzieć. Ze swej strony musimy nadmienić, że Figaro Solarskiego był majstersztykiem pierwszej wody. Zabłysnął całem bogactwem swego talentu. Raz tylko go zobaczyliśmy w roli, w której mógł pokazać, że jednak coś reprezentuje i na tem się skończyło.

Przypominamy sobie, jak Solarski przed dwoma laty przyjechał z Krakowa. Rozmawialiśmy z nim wtedy bardzo długo. Z tego pierwszego kontaktu wyczuliśmy wówczas, że mamy do czynienia z dużym talentem, który byle tylko znalazł sposobność, a zabłyśnie w całej pełni. I podczas przedstawienia Figara przewidywania nasze się sprawdziły. Co za wspaniała była wtedy gra tego aktora. Jaka lekkość, ile wdzięku, ile ekspresji.

Obecnie będzie grał we Lwowie. Wystąpi na przedstawieniu, otwierającem sezon w roli poety włóczęgi Franciszka Villon'a. Potem zagra „Figara", odtworzy główną rolę w sztuce Musseta „Nie igra się z miłością" i w kilku innych.

B. Sł.



Ameryka sprzedaje modę męską...

„Powiedz mi, jak się reklamujesz, a powiem ci, jakim jesteś“ — nasuwa się trawestacja znanego bon-mot, gdy przeglądamy działy reklamowe w gazetach i magazynach rozmaitych krajów. To też dział inseratowy niejednego pisma jest bardziej interesujący i pouczający pod względem poglądu na psychikę narodową, aniżeli właściwa treść danej gazety czy tygodnika. Reklama jest mozaikowem, pełnem życia odbiciem nietylko zwyczajów i obyczajów narodu, ale odcinka danej epoki.

Przypatrzmy się reklamie amerykańskiej, uchodzącej za najbardziej celową i — krzykliwą. Gdy znany bokser Gene Tunney zdetronizował Dempseya, wszystkie działy przemysłu uwieczniły to zwycięstwo w reklamach. Gene Tunney zwyciężył, bo — ma silne zęby. A dlaczego? — bo używa pasty X. Y. Gene Tunney pobił Dempseya, bo ubiera się stale w lekkie ubrania od Big Doola, które nie zmuszają do pocenia się i temsamem zaoszczędzają mu sił. Gene Tunney jest bohaterem, bo nie ma piegów. Gdyby je miał, straciłby sympatję tłumów,



Na lewo:
„Jak masz iść ubrany? Kup sobie ubranie u Big Doola i udawaj kawalera — wówczas napewno nikt cię nie pozna!“



Powyżej:
„Żonę może sobie pan zatrzymać — ale odeślij mi pan natychmiast moje ubranie z firmy Big Dool“.



Na lewo:
„Do Ameryki przyjeżdża się nie na lumpy, ale po ubrania od Big Doola...“

Rysunki: „Esquire".



Na prawo:

„Popatrz kochanie, jak ci ludzie z prasy podziwiają tylko moje ubranie od Big Doola..."



Poniżej:

„Czy to biuro przewodników? Tych dwóch panów możecie sobie zabrać z powrotem. Prosiliśmy o przewodników I. klasy, a ci noszą ubranie tylko od Big Doola..."



Na prawo:

„Łotrze! Siedzi pan tu z moją żoną — ale mam nadzieję, że chyba nie na moim płaszczu od Big Doola!"

które go dopingowały na ringu. A nie ma piegów, bo używa maści X. Gene Tunney odniósł zwycięstwo tylko dlatego, bo dzięki wspaniałym pastylkom Y. nie cierpi na zgagę. I tak dalej i tak dalej... Ale bądźmy przekonani, że gdyby zwyciężył Dempsey, miałby i on wszystkie te zalety, które obecnie ma Tunney — dzięki reklamie.

Widzimy zatem, że reklama amerykańska działa na zmysł orjentacji i rozsądku. Natomiast przemysłowcy i kupcy francuscy apelują do romantyzmu swoich ziomków. To też reklama francuska jest filuternie romantyczna. Lecz i Amerykanie zrozumieli, że zahaczenie o romantyczną żyłkę czytelnika może odkryć — żyłę złotodajną. Często napotkać można początek sensacyjnego romansu, którego zakończenia po kilkunastu rozdziałach, zaciekawiających czytelnika do żywego — szukać należy właśnie w dziale inseratowym. Amerykanie uznali również chińską prawdę, że „jeden obrazek mówi więcej, niż tysiąc słów". Kierownicy działu inseratowego angażują najwybitniejszych karykaturzystów, najdowcipniejszych autorów tekstu, aby posłużyć się ich talentem dla celowości reklamy. Kto się śmieje, jest w dobrym humorze — i łatwiej wydaje pieniądze.

Znany magazyn mody męskiej angażuje rysownika, specjalistę w modzie damskiej. Jakże to? Cóż ma do

Dokończenie na str. 31-ej.



Na prawo:

„Nie obawiaj się grubasku! Bez ubrania od Big Doola teściowa napewno cię nie pozna!"

PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka – obliczone na 3—4 osoby.

FASZEROWANA PAPRYKA. Z sześciu dużych zielonych papryk wycina się spody, wydrąża z ziarn i włókien, wymywa dobrze, następnie zalewa wrzącą wodą i po chwili obciąga, o ile można, z wierzchniej skórki. Osobno dusi się 6 dkg ryżu na sypko, dodaje kilka łyżek zmielonej jakiejkolwiek pieczeni, trochę sosu z pod pieczeni i całe jajko. Farszem tym, dobrze wymieszanym, napełnia się przygotowane poprzednio papryki i układa ciasno w ryneczce na podłożonem maśle. Papryki dusi się na wolnym ogniu przy podlewaniu rosołem, do miękkości, potem zalewa się je gęstym sosem pomidorowym, sporządzonym z pół kg pomidorów uduszonych i przetartych, podprawionych zasmażką. Po zalaniu sosem dusi się papryki jeszcze parę minut, i wydaje obłożone ryżem.

KIEŁBASA W POMIDORACH. Sporą cebulę pokrajać w krążki i podsmażyć na łyżce posiekanego tłuszczu od szynki na jasno żółty kolor, poczem dodaje się pół kg pomidorów sparzonych i obciągniętych z wierzchniej skórki. Pomidory podlewane rosołem lub wodą z troszką ekstraktu bulionowego dusić należy przez 10 minut, potem dodaje się trzy duże surowe ziemniaki pokrajane w plastry i sparzone, a po następnych 10 minutach wkłada się 25 dkg kiełbasy pokrajanej w grubsze plastry i dusi jeszcze przez 10 minut. Przygotowanie tej potrawy nie powinno trwać dłużej niż pół godziny. Potrawę zaprawioną troszką papryki podaje się obłożoną krajankami chleba obsuszanemi nad płomieniem.

PULARDA A LA CARDINAL. Ładną pularde lub młodą tłustą kurę oczyszcza się i pozostawia trochę posoloną przez dwie godziny w chłodzie, następnie kraje w kawałki i osmaża na maśle uważając, aby się bardzo nie zrumieniła. Osmażone kawałki kury wyjmuje się z rądelka, odlewa masło zrumienione a daje natomiast łyżkę masła świeżego. Kurę układa się napowrót w rądelku, podlewa rosołem nagotowanym z podróbek, posypuje szczyptą białego pieprzu i dusi pod pokrywą na wolnym ogniu przez godzinę. Miękkie kawałki wyjmuje się na półmisek i stawia na parze przykryte. Do pozostałego w rądelku sosu dolewa się kieliszek madery, oraz 1/4 l gęstej śmietany rozkłuconej z dwoma żółtkami, zagotowuje wśród ciągłego mieszania, a gdy dobrze zgęstnieje polewa się kremem tym ułożoną na półmisku pulardę i natychmiast podaje obłożoną kluseczkami francuskiemi lub plastrami budyniu bułkowego.

OSTRA SAŁATA SURÓWKA. Szybko przygotować można dobrą, ostrą sałatkę w następujący sposób: dużą hiszpańską (białą) cebulę kraje się ostrym nożem w jak najcieńsze krążki. Posolona i skropiona cytryną oczekuje dalszych dodatków. Z tych pierwsze, które się dodaje, są pomidory, sparzone wrzącą osoloną wodą i obciągnięte ze skórki, następnie pokrajane w drobną kostkę. W końcu dodaje się duże kwaśne jabłko w cienkie płatki pokrajane. Sałatkę dobrze wymieszaną odstawia się na dwie godziny. Tuż przed podaniem odlewa się z sałatki odstały sok, kontroluje czy dość słony, dodaje łyżeczkę cukru i zalewa sałatkę ponownie. Oryginalna recepta podaje też jako dodatek łyżkę oliwy, nie każdy ją jednak znosi. Sałatka jest bez oliwy równie dobra.

POMIDORY W KONSERWIE. Pomidory tak obecnie popularne, konserwowane, bywają w najrozmaitszy sposób: na surowo, w całości w soli, mielone na również surowo, wymieszane z salicylem w proporcji: na 5 kg łyżeczka salicylu; znane są też gotowane w parze na sposób Wecka, itd. itd. Najlepszym i najpraktyczniejszym okazał się w mojej długoletniej praktyce sposób, który poniżej dla użytku naszych miłych Czytelników podaję. Dobrze wymyte duże pomidory, oczyszcza się jak najdokładniej z wszelkich plamek i nadpsutych części (nadgniły pomidor jest gorzki i może zepsuć całą konserwę!). Pomidory połamane na części (nie krajane nożem!) rozgotowuje się zupełnie bez wody przy częstem mieszaniu drewnianą, lub srebrną (nigdy blaszaną) łyżką. Uważać należy, aby się nie przypaliły. Najlepiej będzie, jeśli je wstawimy na parę godzin do ciepłego piecyka aż puszczą trochę soku, potem gotuje się je dalej na piecu. Rozgotowane przeciera się przez włosiane sito. Przetartą masę gotuje się przez godzinę i jak najgorętszą napełnia się wyjałowione wodą gotowaną i salicylem flaszki, które się natychmiast korkuje, owija szczelnie w ciepłe chustki i pozostawia tak do zupełnego ostudzenia. Można je też wstawić do piecyka po obiedzie i pozostawić do drugiego dnia. Chcąc konserwy tej użyć na sos lub zupę, odlewa się potrzebną ilość, zagotowuje, podprawia czem należy i bez przecierania i zachodów potrawa w parę minut gotowa. Konserwa trzyma się dobrze aż do nowych pomidorów; szczególną uwagę jednak zwrócić należy na czystość flaszek, gdyż od tego jedynie zależy trwałość konserwy. Najlepiej nadają się do tego celu flaszki z wód mineralnych, wymyte oczywiście przed napełnieniem przegotowaną wodą.

Sc. Ko.

NOWOŚCI GOSPODARSTWA DOMOWEGO



Sztuka kulinarna wymaga w dotychczasowych przeciętnych warunkach wielkiego nakładu pracy i czasu. Wynalazczość ludzka dąży do uproszczenia pracy pani domu i personalu pomocniczego obmyślając aparaty praktyczne i celowe. Na naszej ilustracji widzimy maszynę elektryczną rodzaj motoru, do którego można włączyć miotełkę do ubijania piany miskę do wyrabiania ciasta maszynkę do mielenia migdałów, do mielenia mięsa i t. p. Aparat spełnia już automatycznie wszystkie te czynności, które dotychczas były dziełem rąk gotującej osoby.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Tydzień 36 — **Sierpień** — 31 dni

Dzień	Jadłospis
NIEDZIELA **29** Ścięcie ś. Jana	Zupa ox-tail. Papryka faszerowana. Pularda à la Cardinal z budyniem bułkowym. Kompot. Kremówki. Kolacja: Szynka cielęca z sosem tatarskim.
PONIEDZ. **30** Róży z Limy	Zupa z świeżych grzybków z płatkami. Kalafior au gratin. Pieczeń sarnia z ostrą sałatką surówką. Szarlotka z jabłek. Kolacja: Jarskie kotlety z ziemniaczkami.
WTOREK **31** Rajmunda wyz.	Zupa Julienne z ptysiowym groszkiem. Rizotto z podróbkami. Stek cielęcy z groszkiem i marchewką. Budyń z sera. Kolacja: Omlety z grzybkami.

Wrzesień

Dzień	Jadłospis
ŚRODA **1** Idziego, Izabeli	Zupa kalafiorowa z grzankami. Kiełbasa w pomidorach. Sznycle cielęce po wiedeńsku z przysmażonemi ziemniaczkami i mizerją. Kruchy placek z śliwkami. Kolacja: Jaja na śmietanie.
CZWARTEK **2** Stefana, Justa	Rosół z kaszką krajaną. Sztuka mięsa z sosem pomidorowym. Kuropatwy pieczone z kompotem z brusznic. Jabłka w cieście. Kolacja: Pasztet z dziczyzny.
PIĄTEK **3** Bronisławy	Barszcz czysty z uszkami z grzybów. Fasolka szparagowa w sosie śmietanowym. Karp w galarecie z sałatą jarzynową majonezową. Strudel z jabłkami. Kolacja: Sałatka śledziowa, chleb, sery.
SOBOTA **4** Rozalji	Zupa pomidorowa czysta z ryżem. Naleśniki z mięsem. Kotlety wieprzowe z kapustą na prędce kiszoną. Omlet z konfiturą. Kolacja: Bukiet jarzynowy.

HOCKI-KLOCKI

SPRAWIEDLIWE WYJŚCIE.



— Co? złotego za wniesienie jednej walizki?
— Ja wniosłem dwie walizki...
— Ale ta druga nie jest moją...
— To daj mi pan złotego i weź sobie pan obie...

Rys. Charlie

Rozwiązania z Nru 34-go.

LIST

A musi być 1, a B i C muszą zastępować 6 lub 2, bądź też 3 lub 5; równanie trzecie wskazuje, że są one 3 i 5, dlatego D musi być 7. Wobec tego E musi być 8 (z równania D×E=CH, gdzie za C podstawia się 5). Wskazania wartości liczbowych dla pozostałych liter jest już łatwe. A więc A = 1, B = 3, C = 5, D = 7, E = 8, F = 0, H 6, J = 4, K = 2, L = 0.

PROBLEM ARYTMETYCZNY.

Liczby 225 i 625 (kwadraty 15 i 25) spełniają warunki zadania. Liczba 225.625 jest kwadratem 475.

7777

Ostatnie cztery cyfry ilorazu są 6823.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

BAŁWAN ZE ŚNIEGU.

Dzieci ulepiły ze śniegu bałwana, który przez trzy dni nie uległ żadnym zmianom. Czwartego dnia z powodu podniesienia się temperatury zaczął powoli topnieć tak, że stracił 1/10 swej objętości, piątego dnia 1/9, następnego 1/8 i t. d.

Ostatniego dnia słońce przygrzało tak mocno, że rozpuściło 1/5 jego pierwotnej objętości śnieżnej i wtedy nic już wogóle z bałwana nie zostało.

Ile dni stał bałwan śnieżny?

DODAWANIE.

W poniższem dodawaniu należy litery zastąpić odpowiedniemi cyframi tak, aby otrzymać dodawanie czterech jednakowych liczb czterocyfrowych.

A B C D
A B C D
A B C D
A B C D
———————
E B E A

Każda litera zastępuje inną cyfrę. Litery pod kreską kryją liczbę, która jest sumą liczb oznaczonych literami nad kreską. Jaką cyfrę należy podstawić za każdą z liter?

HUMOR ZAGRANICZNY

CHICAGO.



— Mój mąż okropnie niszczy ubrania nosząc w nich rewolwery...
— To jeszcze nic! Mój strzela, nie wyjmując ich z kieszeni... *(Ric et Rac).*

„ZBAWCA"



Włamywacz: Uwalnia mnie pan od wielkiego kłopotu — właśnie zastanawiałem się, gdzie mam ukryć taką furę pieniędzy...

Rys. Charlie

OKRĘTOWA DRABINA.

Okręt „Putyfara" stoi w porcie na kotwicy. Obserwator zauważył, że z pokładu okrętowego zwieszała się drabina, że tylko cztery jej szczeble były zanurzone w wodzie, że każdy szczebel miał 3 cm. grubości i że odstępy między szczeblami wynosiły po 30 cm. Woda w czasie przypływu podnosiła się o 36 cm. na godzinę. Ile szczebli drabiny będzie po dwóch godzinach zanurzonych w wodzie?

PODKOWA.



Czy można papierową podkowę, taką, jaką widzimy na rysunku, rozciąć na 7 części dwoma prostemi cięciami nożyczek tak, żeby każda część zawierała jedną dziurkę na gwóźdź. Po pierwszem cięciu można skrawki złożyć razem, lecz nie można papieru zginać.

Dokończenie ze str. 7-mej

nego w tych czasach. Hasłem tej sztuki było zadziwiać techniką i pomysłami, a mniej dbać o prawdziwą artystyczną piękność.

W każdym razie obie powyższe rzeźby w kaplicy Sansevero w Neapolu, stanowią jeszcze dzisiaj dla cudzoziemców, zwiedzających miasto Partenopy niezwykłą atrakcję. W kaplicy tej bowiem znajdują się jeszcze liczne barokowe dzieła, a przedewszystkiem rzeźba marmurowa, przedstawiająca Chrystusa po śmierci. Zbawiciel spoczywa na porfirowej podstawie, okryty cieniutkim całunem. W kaplicy znajdunje się też grobowiec Rajmonda di Sangro oraz jego żony Szarlotty Gaetani. Wszystkie te rzeźby reprezentują szkołę Berniniego, Bernini bowiem, słynny budowniczy Rzymu, był neapolitańczykiem i wywarł olbrzymi wpływ na barok neapolitański.

Dokończenie ze str. 12-ej

innej części odnóża) pałeczką, zwilżoną roztworem cukru, a motyl natychmiast rozwija swą trąbkę i zaczyna szukać słodkiej substancji, którą uczuł przy dotknięciu. Reakcję tę wykazuje tylko głodny osobnik, natomiast po nasyceniu motyl przestaje reagować na dotknięcie stopy roztworem cukru. Tak samo spragniony motyl reaguje na dotknięcie stopy czystą wodą.

Zdolność odczuwania słodkich substancyj za pomocą stopy wykazują wśród motyli tylko nieliczne gatunki, które wczesną wiosną pobierają jako pokarm słodkie wydzieliny pączków drzew, oraz te rodzaje, które zlizują sok wyciekający z drzew. Natomiast gatunki bardzo bliskie wspomnianym wyżej motylom, nie siadające jednak na pączkach w okresie wczesnej wiosny (np. rusałka pokrzywnik — Vanessa urticae, pawie oko — Vanessa io) zdolności tej nie zdradzają. — Przystosowanie to jest bardzo racjonalne, gdyż znakomicie ułatwia wynalezienie pokarmu w czasie, kiedy niema jeszcze barwnych kwiatów z wonnym nektarem.

Jak widzimy, przeglądając wyżej przytoczone przykłady, przyroda jest bardzo pomysłową w ułatwianiu życia swym tworom i umieszcza organa zmysłowe tak, aby oddawały jak największy pożytek ich posiadaczowi. Umiejscowienie to z ludzkiego punktu widzenia może wydawać się często dziwacznem, jest jednak wysoce racjonalne.

Dokończenie ze str. 29-ej.

roboty rysownik modeli damskich w dziale inseratów mody męskiej? Owszem — twierdzi autor inseratu — bo dla kogoż ubierają się panowie? Dla siebie, to jest dla dobrej prezencji, a pośrednio dla uzyskania względów pięknych pań. Któryż młodzieniec od lat 20 do 70 oprze się pokusie sprawienia sobie eleganckiego ubrania, jeżeli ma ono być środkiem do celu pozyskania względów tak uroczych dziewczątek, jakie przedstawia rysownik reklamowy! A że chodzi w pierwszym rzędzie o zareklamowanie ubrań męskich, — ten ukryty cel rysunku, przedstawiającego piękne i dobrze ubrane kobiety, będzie napewno osiągnięty w praktyce, choć nie narzuca się jaskrawo oczom czytelnika!

Brummel.

To warto poznać..

NA SCENIE.

Bydgoszcz.

Na scenie teatru bydgoskiego wystawiono komedję Tadeusza S. Chrzanowskiego pt. **„Japoński rower“**. Autor uprawiał dotychczas dziennikarstwo, jego komisja przypomina w założeniach i ujęciu „Lekkomyślną siostrę“ Perzyńskiego. Nie brak w niej humoru i werwy scenicznej.

W rolach głównych wystąpili: Irena Paszkowska, Michalina Michalska, Zbigniew Koczanowicz, Roman Jaglarz i Zbigniew Serwiński. Publiczność bawiła się na premjerze bardzo dobrze. Niektórzy z wymienionych artystów opuszczają Bydgoszcz w przyszłym sezonie. Zatem „Japoński rower“ jest niejako pożegnaniem minionego sezonu.

Poznań.

Na deskach teatru Polskiego zaprezentowano utwór Feliksa Gandery, w przekładzie W. Popławskiego pt. **„Dwaj mężowie pani Marty“**. Jest to historja owej Marty, która opuściła pierwszego męża, sympatycznego lekkoducha i wyszła za finansistę, pochłoniętego interesami. Marta wraca wkońcu do swego pierwszego małżonka. Rzecz jest ujęta lekko i pogodnie.

W roli Marty wystąpiła pełna wdzięku p. Elżbieta Łabuńska, pozatem: Jadwiga Sachnowska (ciotka) pp. Michał Pluciński (lekkoduch) i Stanisław Jaworski.

NOWE KSIĄŻKI.

„Marliza“ K. Braibanta.

W oryginale utwór Karola Braibanta nosi tytuł „Król śpi“. Nie ma wprawdzie w powieści francuskiego autora żadnego monarchy, wzmianka o królu jest aluzją do dawnego zwyczaju, kiedy to na zapytanie o królu mistrz ceremonji odpowiadał: „Król śpi“. W powieści Braibanta „śpiącym królem“ jest niejaki Miłosz, jedynak despotycznej matki, Marji-Ludwiki czyli Marlizy. Ponieważ Miłosz ma opinję marzyciela, niezdolnego do interesów — Marliza nie dopuszcza go do rządzenia majątkiem. Despotyzm matki wywiera ujemny wpływ na Miłosza. Bojąc się utracić prawa do spadku zataja on przed nią swoje życie „prywatne“, ukrywa fakt, że spotkał kobietę, którą kocha i z którą żyje w Paryżu. Stopniowo coraz wyraźniej zarysowuje się podwójne życie Miłosza.

Mijają lata. Dorasta syn Miłosza, a Marliza w dalszym ciągu rządzi na wsi, podczas gdy Miłosz starzeje się przedwcześnie, a wkońcu umiera, nie mając odwagi przyznać się matce do podwójnego życia. Tuż przed pogrzebem syna Marliza dowiaduje się, że jest babką i prababką. Początkowo będzie nadal nieubłagana i zacięta. Dopiero u schyłku życia przemówi do niej widok prawnuczka w wózku dziecięcym...

Powieść Braibanta należy do interesujących dokumentów psychologicznych. Oświetla przytem stosunki na mało znanym naogół terenie wsi francuskiej, gdzie rozgrywa się część akcji „Markizy“.

„Haszysz Czarnego Lądu“ A. Dębczyńskiego.

Coraz częściej ukazują się reportaże z krajów egzotycznych. Po świeżo wydanej „Liberji“ Janusza Makarczyka mamy do zanotowania reportaż Antoniego Dębczyńskiego z Kongo. Autor ubrał swoje wrażenia w formę beletrystyczną, przyozdobiając je wątkiem fabularnym. Wątek ten nie zaciera obserwacyj, dotyczących egzotycznego terenu. Ta niegościnna, trudna do aklimatyzacji na jej obszarach ziemia afrykańska potrafi jednak przywiązać do siebie białych przybyszów. Kierowanie pracą prymitywnych, półdzikich plemion murzyńskich wymaga nielada nerwów, a jednak ten Czarny Ląd wydziela jakiś „haszysz“, urzekający europejskich przybyszów, jak ów Andrzej, który mimo wygaśnięcia kontraktu z firmą i perspektywa dostatniego życia w Europie — pozostaje w Afryce.

Nie skusi go nawet perspektywa małżeństwa z córką jego dawnego przyjaciela i opiekuna. Cóż tedy sprawia, że ta niewdzięczna, jakże mało „poetyczna“ ziemia zdoła go zatrzymać? Że zrezygnuje znowu na szereg lat z wygód i urządzeń cywilizacyjnych, ażeby móc jeszcze pracować w dzikim zakątku Czarnego Lądu?

Nie wchodzi tu w grę wyłącznie materjalna korzyść, zyski, jakie można wyciągnąć z plantacji, czy żmudnej walki z niedostępną, odległą puszczą.

Najwidoczniej zmaganie z wrogą przyrodą i nieprzyjazną ludnością murzyńską nie pozostaje bez wpływu na charakter jednostki: przetwarza ją i hartuje, ale zarazem znieczula uczuciowo. — Ten proces pokazuje nam p. Dębczyński w swym utworze.

Andrzej jest początkowo bardzo humanitarny w postępowaniu z tubylcami, jest lojalny wobec przełożonych z towarzystwa, które go wydelegowało; stosuje się do przepisów i poleceń zwierzchników, ale z czasem znużony nieustanną walką z przeciwnościami, zaczyna stosować metody, które przedtem potępiał. Aż wkońcu będzie miał dosyć intryg i zawiści, rzuci posadę, aby pracować na własną rękę.

I to jest właśnie znamienne dla „haszyszu“, jaki go urzekł w Kongo: zdecyduje się tu pozostać, mimo niedawno przebytego ciężkiego ataku febry, mimo doświadczeń, nie bardzo zachęcających do dalszego pobytu na Czarnym Lądzie.

„Górne i durne“ Zdzisława Chrząstowskiego.

Pisaliśmy z okazji nowej powieści Rusinka „Pluton z Dzikiej Łąki“ o panującej u nas modzie na wspomnienia z lat dziecinnych. Obecnie mamy do zanotowania jeden utwór z tego cyklu, będący debjutem literackim p. Zdzisława Chrząstowskiego p. t.: „Górne i durne“.

Autor opowiada o czasach przedwojennych na Litwie, w domu rodzinnym na wsi. Książka jego składa się z luźnych obrazków z tej epoki, naisanych z zacięciem pisarskiem.

P. Chrząstowski włada dobrze formą gawędy, bezpretensjonalnego szkicu, zarysowującego plastycznie dawne lata... Obracamy się wśród miejscowości, jakby zaczerpniętych z „Pana Tadeusza“: Monkajcie, Juszkajcie, Jankajcie, no i wśród galerji postaci domowników. Poznajemy zwyczaje, panujące w polskich dworach na Żmudzi.

J. J.

NA NAJLEPSZEJ FALI

Niedziela, 29 sierpnia.

- 8.00 Audycja poranna.
- 9.00 Regjonalna transmisja z Zaniemyśla. Reportaż. Polowa Msza św.
- 11.05 Koncert pod dyr. Toscaniniego. Transmisja z Salcburga.
- 13.20 Polska Kapela Ludowa pod dyr. F. Dzerżanowskiego.
- 14.40 Wszystkiego po trochu — audycja dla dzieci.
- 15.00 Audycja dla dzieci.
- 16.00 Zespól mandolinistów i chór „Kaskada“ (z Wilna).
- 16.30 Styl klasyczny w muzyce nowoczesnej (płyty).
- 17.00 Koncert rozrywkowy z Parku Paderewskiego.
- 19.00 Słuchowisko „Pierwsza lepsza“ w/g komedji Fredry.
- 20.00 Koncert trzech solistów (płyty).
- 21.00 „Bakcyl H“ — wesoła audycja ze Lwowa.
- 22.00 Pieśni Schuberta w wyk. Luby Lewickiej.
- 22.25 Tańce różnych narodów — na dwa fortepiany.

Poniedziałek, 30 sierpnia.

- 6.15 Audycja poranna.
- 12.15 „Rodzice a szkoła“ — pogadanka.
- 12.25 Koncert orkiestry dętej.
- 12.40 „Od warsztatu do warsztatu“: „Bednarze“.
- 16.00 „Pokój dziecinny w warszawskiem Zoo“ — pogadanka.
- 16.15 Transmisja z ogniska harcerskiego na Międzynarodowym Zlocie Skautów w Holandji.
- 17.00 Koncert solistów.
- 18.15 Wiązanka melodyj Fucika i Komzaka (płyty).
- 19.00 „Wspomnienie z dawnych wesel“ wykona Kapela Ludowa z Siołkowej.
- 20.00 Melodje filmowe polskie i obce.
- 20.20 „Zwarjowany antykwarjat“ — skecz.
- 22.00 Koncert Poznańskego Chóru Katedralnego pod dyr. ks. dr. W. Gieburowskiego (transmisja do Anglji).
- 22.30 Jan Sebastjan Bach (płyty).

Wtorek, 31 sierpnia.

- 6.15 Audycja poranna.
- 12.25 Popularna muzyka polska — koncert ork. K. P. W.
- 16.00 „Gdy wielcy ludzie byli mali“: „Abraham Lincoln“.
- 16.25 Duety i arje w wyk. Zofji Fabry i Wiktora Bregy.
- 16.50 „Lida, klucz do Wilna“ — feljeton.
- 17.05 Koncert w wyk. Ork. Filharmonji Warszawskiej.
- 18.15 „Gwiazdy filmowe śpiewają...“ (płyty).
- 19.00 „Broszka“ — skecz.
- 19.15 Kwartet cis-moll op. 131 L. v. Beethovena.
- 20.00 Koncert muzyki lekkiej i tanecznej.
- 22.00 Recital śpiewaczy Sławy Orłowskiej-Czerwińskiej.

Środa, 1 września.

- 6.15 Audycja poranna.
- 12.15 Przed żniwami w ogródku konkursowym — pogadanka.
- 12.25 Koncert Orkiestry Furmańskiego i Dakowskiego.
- 16.00 „Z mojego warsztatu“ — szkic literacki.
- 16.15 Koncert w wyk. Ork. Filharmonji Warszawskiej. Transmisja z Ciechocinka.
- 17.00 Koncert solistów.
- 18.15 Melodje taneczne na instrumentach solowych (płyty).
- 19.00 Słynni dyrygenci — XX audycja — Albert Costes.
- 20.00 „Biała Afryka“ — reportaż z płyt.
- 21.00 Koncert chopinowski w wyk. J. Smidowicza.
- 22.00 Koncert rozrywkowy.

Czwartek, 2 września.

- 6.15 Audycja poranna.
- 12.25 Koncert Orkiestry Wojskowej.
- 16.00 „Na siodełku motocykla“ — pogadanka dla dzieci.
- 16.15 Symfonja Beethovena — VIII audycja (płyty).
- 16.40 Lekcja o dobrem współżyciu — feljeton.
- 16.55 Polska Kapela Ludowa F. Dzierżanowskiego.
- 18.15 Parafrazy fortepianowe i jazzowe znanych utworów.
- 19.00 Powszechny Teatr Wyobraźni: „Świt, dzień i noc“.
- 20.05 Polska muzyka rozrywkowa.
- 22.00 Recital śpiewaczy Paolo Civil'a.

Piątek, 3 września.

- 6.15 Audycja poranna.
- 12.25 Orkiestra Salonowa pod dyr. T. Rydera (z Łodzi).
- 16.15 Koncert solistów.
- 16.45 Samolotem do Palestyny — reportaż.
- 17.00 Koncert Ork. Filharmonji Warszawskiej (Trans. z Ciechocinka).
- 18.20 Orkiestra Jacka Hyltona (płyty).
- 19.00 Koncert kameralny.
- 19.25 Piosenki włoskie w wyk. Józefa Wolińskiego.
- 20.00 Koncert rozrywkowy.
- 22.00 Recital skrzypcowy w wyk. E. Umińskiej.
- 22.30 Pieśń nastrojowa wykona Kwartet Solowy Wokalny.

Sobota, 4 września.

- 6.15 Audycja poranna.
- 11.15 Audycja dla szkół.
- 12.15 „Strzeżmy wieś od pożarów“ — pogadanka.
- 12.25 Koncert rozrywkowy.
- 16.00 Audycja dla dzieci
- 16.30 „Bajeczki“ w wyk. Krakowskiego Kwartetu Schrammla.
- 17.00 Pieśni ludowe w wyk. Chóru im. Moniuszki.
- 17.15 Utwory Edwarda Griega.
- 17.50 „Lwów — bohaterskie miasto“ — pogadanka.
- 18.15 Małe zespoły instrumentalne (płyty).
- 19.00 Recital fortepianowy Ani Polakoff.
- 21.05 „Przygoda w Grinzingu“ — operetka..
- 22.00 Muzyka taneczna w wyk. Małej Orkiestry P. R.

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa“, zamieszcza się bezpłatnie. — Niezamówionych artykułów Redakcja nie zwraca

Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczania egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie, do Urzędu Pocztowego (doręczeniowego), a nie wprost do Administracji.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A. — PRINTED IN POLAND.